

H HARLEQUIN[®]
TM

MEDICAL

Alison
Roberts

Jedna noc czy całe życie



Alison Roberts

Jedna noc czy całe życie

Tłumaczenie:
Katarzyna Ciężyńska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W zgiełku panującym w kuchni rodziny Rosellich, która właśnie zasiadała do kolacji, ledwie dało się słyszeć dzwonek telefonu.

Kuchnia nie była duża. Gdyby spotkała się cała rodzina, musieliby postawić duży drewniany stół na podwórzu pod obrośniętą winem pergolą. Tego dnia padało, a tak naprawdę lało, jak to często bywa w Północnej Australii. Obrośnięta winem pergola nie ochroniłaby ich przed zmoknięciem.

Tłoczyli się zatem w wąskiej kuchni, gdzie w jednym końcu Adriana Roselli wodziła rej przy blacie i kuchence, zaś drugi koniec wypełniał sosnowy stół mieszczący dziesięć osób, jeśli się ścisnęły. Trudniej było, rzecz jasna, wcisnąć tam jeszcze wózek inwalidzki, dlatego w tym momencie panował rozgardiasz.

- Au! Nadepnęłaś mi na nogę, Fiona. Uważaj.

- Gdybyś nie zatkał sobie uszu durnymi słuchawkami z tą twoją koszmarną muzyką, zauważyłbyś nas. Posuń się, Guy.

- Najpierw mnie przeproś. Chyba złamałaś mi palec.

- To ty powinieneś przeprosić. Patrz, Angel przez ciebie płacze...

- Uspokójcie się! Jak upuszczę lasagne, wszyscy będziecie żałować. *Mamma mia!*

- Adriana trzymała nad głową dużą tacę, z której unosiła się para, a jej najmłodszy syn przepychał się obok niej łokciami. - Czemu moje dzieci nigdy nie dorosną i nie zachowują się jak przystoi? Czym ja sobie na to zasłużyłam? Lia, czemu na stole nie ma chleba?

- Już idę... Och, czy to telefon?

Dopiero po chwili jej słowa dotarły do pozostałych. Adriana głośno postawiła lasagne na środku stołu, po czym zakryła usta obiema rękami, a jej wzrok - podobnie jak wzrok wszystkich zebranych poza Angel - powędrował w stronę Nica.

Czy to telefon, na który wszyscy czekali?

- Ja odbiorę.

- Nie, ja.

- To do Nica. Niech on odbierze.

Nico wyglądał jak opos na drodze w światłach reflektorów, zbyt przerażony, by się ruszyć.

- Ja odbiorę. - Lia pchnęła koszyk z pachnącym domowym chlebem do swojego brata Guya, ale on miał zamknięte oczy, kiwał głową w rytm muzyki, której słuchał. A Lia i tak się spóźniła.

Wyprzedziła ją młodsza siostra Elena.

- Lia? Do ciebie.

- Co? - Lia pokręciła głową. Kto może do niej dzwonić w wolny od pracy dzień? Życie Lii wypełniała praca i rodzina. Jedno spojrzenie na kuchnię wystarczyło, by jej przypomnieć, czemu nie ma w nim miejsca na nic więcej. Zresztą nie chciała niczego więcej.

To był jej dom, pełen cudownych zapachów i nieustannego zgiełku. Kochała ich wszystkich aż do bólu.

- Powiedz temu komuś, żeby zadzwonił później. Jestem zajęta.

Położyła chleb obok jednej z sałatek, uśmiechając się do ojca, który zajął miejsce u szczytu stołu i w milczeniu czekał, aż chaos zamieni się w cywilizowany posiłek. Za nakrycie stołu odpowiadała Elena. Lia rozejrzała się. Gdzie się podziały specjalne sztucce, którymi Angel mogła jeść samodzielnie?

- To Bruce! - zawołała Elena. - Mówi, że to ważne.

Bruce? Jej szef ze stacji pogotowia? Więcej niż szef, prawdę mówiąc. To on namówił ją do kształcenia się, dzięki czemu uzyskała kwalifikacje pozwalające zdobyć pracę w załodze śmigłowca ratunkowego. Jeśli Bruce twierdzi, że coś jest ważne, to jest. Czyżby wzywano posiłki z powodu jakiegoś wypadku?

- Idę! - Hałas wokół znów się wzmógł, ale Lia była ledwie świadoma drobnej sprzeczki, gdy matka wyciągnęła słuchawki z uszu Guya czy tego, że Fiona strofowała Elenę za brak sztucców Angel. Nie umknęło jej za to, że Nico patrzył przed siebie i najwyraźniej potrzebował wsparcia ani że milczenie ojca było głębsze niż jego normalna cierpliwość. Jednak te sprawy musiały poczekać.

- Bruce? - Lia odsunęła z twarzy długie kręcone włosy i przycisnęła telefon do ucha. - Cześć. Co się dzieje?

Poziom hałasu był wciąż zbyt wysoki, by mogła dobrze słyszeć, więc wymknęła się do holu.

- Powtórz, proszę. Co miałabym zrobić?

Cisza była jedną z tych rzeczy, które Sam Taylor najbardziej lubił na Wildfire. Zwłaszcza o tej porze dnia, kiedy słońce prawie schowało się za horyzont, a tropikalne kwiaty pachniały intensywnie.

Wziął głęboki oddech i na moment zamknął oczy. Potem podniósł powieki i spojrzął na otaczający wyspę ocean. Wyspę, która od kilku lat jest jego domem.

Wyszedłszy ze szpitala, ruszył prowadzącą w górę drogą. Teraz znajdował się nad kopalnią złota, która była katalizatorem rozwoju dla wielu ludzi prócz wyspiarzy, pozwalając im nazwać to miejsce domem. Z jednej strony dostrzegał wioskę i skalisty przylądek, wzniesienie z małym kościołem na szczycie. Nie widział stamtąd Sunset Beach po drugiej stronie, ale to nie był wieczór na rozrywki i podziwianie zachodzącego słońca zalewającego skały ognistym blaskiem, któremu wyspa zawdzięczała nazwę. Bokiem pędziły ciężkie chmury, co rusz zakrywając słońce. Sam wiedział, że niedługo połączą siły i uwolnią tropikalną ulewę, która regularnie pojawia się w sezonie cyklonów.

Może to właśnie owo napięcie w atmosferze kazało mu po dniu pracy wyruszyć na forsowny marsz. Brakowało im personelu, a kiedy Jack, pilot śmigłowca, zabrał jedną z pielęgniarek, lecąc na wezwanie, sytuacja stała się jeszcze bardziej stresująca. Dobrze, że nazajutrz ma do nich przylecieć personel tymczasowy. Tym razem miał to być ratownik medyczny i pielęgniarka, więc będą dysponować dodatkowymi parami rąk do pracy, a poza tym nikt nie zabierze mu pielęgniarki w sytuacji, gdyby była potrzebna na bloku operacyjnym.

Westchnął i poczuł, że napięcie opada. Ten widok zawsze go uspokajał, a nawet

przynosił radość, gdy patrzył na ciemniejące kształty oddalonych wysp. Największa z nich, Atangi, z wieloma sklepami i szkołami, była najdłużej zasiedlona. Widział też zamglony zarys innych wysp, dobrze mu znanych, gdyż prowadzili tam gabinety, na przykład French Island. W zasięgu wzroku znajdowały się również niewielkie wzniesienia niezamieszkanymi wysp. Jedna należała teraz do niego.

Miał najlepszą pracę na świecie w miejscu, gdzie mógł szczęśliwie dożyć końca swoich dni, i gdzie mógłby je też z kimś dzielić. Z kimś, kto nie oczekiwałby od niego niczego prócz miłości. Czegóż więcej można pragnąć?

Kiedy Lia wróciła do kuchni, przy stole zostało jedno wolne krzesło. Na talerzach pyszności się ułożone warstwami mięso, ser i makaron, dzięki którym Adriana Roselli zasłużyła na miano mistrzyni lasagne.

- Czego chciał Bruce? - Elena sięgnęła po ciepłą kromkę chleba. - Zaprosił cię na randkę?

- Bruce mógłby być moim ojcem - odparła Lia. - A ja jestem dość dorosła, żeby wiedzieć, że taka randka byłaby głupotą.

- Och, daj spokój - obruszyła się Elena. - Mike ma trzydzieści dziewięć lat.

- A ty tylko dwadzieścia sześć. Trzyście lat różnicy, Lena. Policz sobie. To prawie pokolenie.

- Przynajmniej mam chłopaka. A ty zostaniesz starą panną.

- Dość tego - rzekła Adriana. - Siadaj, Lia. Jedz. Jesteś ostatnio za chuda. Nawet stąd widzę twoje kości.

Lia zignorowała uwagi matki i siostry i zajęła miejsce obok wózka inwalidzkiego Angel.

- Uważaj, jak trzymasz łyżkę, kochanie. Grzeczna dziewczynka. Nie zapomnij podmuchać. Lasagne wygląda na gorące. - Pochyliła się, by pokazać, co trzeba zrobić, a wtedy Angel zachichotała i jedzenie spadło jej na kolana.

- Dzięki, Lia. - Fiona, matka Angel i siostra Lii, uśmiechała się, sprzątając po małym wypadku. - Spróbujmy od nowa, dobrze, Angel?

- Więc czego chciał Bruce? - Nico nabrał jedzenie na widelec. Najwyraźniej liczył na to, że coś pomoże mu oderwać się od problemów.

- Zaproponował mi pracę na dwa tygodnie w zespole śmigłowca ratunkowego na wyspie jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Cairns. Nazywa się Wildfire.

- Wyspie? - Adriana pokręciła głową. - Pff... po co? Miałabyś jechać na wakacje?

- Tam jest szpital, mam. Służy sporej społeczności. Bruce uważa, że to byłoby dla mnie świetne doświadczenie. Robiłabym rzeczy, których tu nie mam szansy robić. A gdyby mi się spodobało, latałabym tam na dwutygodniowe zmiany.

- Nie możesz lecieć - stwierdziła Elena. - Lada dzień Nico idzie na operację, a wiesz, jak Mamma kocha szpitale. Tylko ty potrafisz wszystko tak wytłumaczyć, żeby się nie zapłakała. A po operacji przyjdzie czas na chemię. To będzie straszne.

- Nie będzie. - Lia posłała siostrze ostrzegawcze spojrzenie, po czym zwróciła się do brata z uśmiechem. - Dasz radę, Nico. Wiem, że to cię przeraża, ale procent uleczałości nowotworu jąder jest naprawdę bardzo wysoki, a ty będziesz należał do tych, którzy z tego wyjdą. Wszystko będzie dobrze.

- Obiecujesz? - Nico, jak reszta rodziny, widział w Lii eksperta w dziedzinie medycyny.

Uśmiech Lii niósł szczerą otuchę.

- Obiecuję. - Nawet jeśli leczenie nie okaże się tak skuteczne, jak liczył Nico, już ona zrobi wszystko, by było dobrze.

- Chcesz tam jechać? - spytała sceptycznie Fiona.

- To byłoby coś nowego - przyznała Lia. - Podoba mi się nawet nazwa wyspy. Wildfire, dziki ogień.

- Są tam pożary? - Adriana potrząsnęła głową. - Chyba nie chcesz jechać gdzieś, gdzie wybuchają pożary.

- Wyspa Wildfire? Niedawno mówili o niej w wiadomościach. - Guy odłożył widelec i wyjął z kieszeni telefon. - Jestem pewien, że chodziło o jakiś zawał w kopalni...

- Cóż, to kończy sprawę. - Łyżka stuknęła o talerz, jakby stwierdzenie Adriany było ostateczne. - Nie pozwolę ci jechać gdzieś, gdzie płoną kopalnie.

- Nie płoną - powiedział Guy. - W tej kopalni doszło do zawału. Byli ranni, duża akcja ratunkowa, ale już jest dobrze. Zresztą po co Lia miałaby zjeżdżać do kopalni?

- Na pewno nie będę zjeżdżać do kopalni - rzekła Lia. - Poza tym proponują bardzo atrakcyjne wynagrodzenie. Zarobiłabym trzy razy tyle co zwykle w ciągu dwóch tygodni. Wyobraźcie sobie, o ile by nas to zbliżyło do kupna nowego sprzętu, który pomógłby chodzić Angel.

- Nie... - Adriana podała Lii talerz. - Mimo wszystko to niebezpieczne. Latanie śmigłowcem nad jakimiś wyspami daleko stąd? A jeśli śmigłowiec się rozbije?

- To taka sama praca jak tutaj. Pilotem jest znajomy Bruce'a. To moja praca, Mamma, wiesz, jak ją lubię.

- To nienormalne. - Adriana westchnęła. - Masz trzydzieści dwa lata, Lia, powinnaś być mężatką i mieć *bambinos*. Spójrz na siostrę. W twoim wieku już była *mamą*.

Lia i Fiona wymieniły pełne żalu spojrzenia. Angel była wcześniakiem, a niedotlenienie podczas porodu spowodowało porażenie mózgowe. Ojciec Angel zostawił żonę i córkę, gdy tylko dowiedział się o chorobie.

- Pieniądze są świetne - rzekł Guy. - Na twoim miejscu bym to wziął. Można by naprawić dach i nie musiałbym podczas każdego deszczu potykać się o wiadro w sypialni.

Ojciec podczas całej rozmowy siedział ze wzrokiem wlepionym w talerz, ale gdy Guy się odezwał, podniósł wzrok, a Lia dojrzała wstyd w jego oczach.

To nie twoja wina, powiedziała do niego w milczeniu. Zdobędziesz nową pracę, nim skończą się pieniądze z odprawy. Na głos powiedziała jednak coś innego. Poprosiła ojca o radę.

- A ty co sądzisz, tato? Powinnam jechać?

Odpowiedział jej uśmiechem, a jego ciepłe spojrzenie mówiło, że docenia jej szacunek i uznanie.

- Jeśli masz ochotę pojechać, *cara*, powinnaś jechać.

Lia powoli kiwnęła głową.

- Chyba pojedę.

- *Mamma mia*. - Adriana zrobiła znak krzyża, zamykając oczy. - Kiedy wyjeżdżasz?

- No... jutro. Osoba, która miała jechać w ostatniej chwili, uległa wypadkowi, dlatego Bruce'a poproszono, żeby znalazł zastępstwo.

Wszyscy patrzyli na Lię z podziwem połączonym z lękiem.

- Powiedziała mi, że oddzwonię, jak tylko przegadam sprawę z rodziną. Nico? Ty masz ostateczny głos. Jeśli chcesz, żebym była z tobą podczas operacji, odmówię.

- Jedź - odparł Nico. - Wystarczy tu osób, które będą się nade mną trząść. Zresztą w szpitalu zostanę tylko parę dni. Możesz mi przysłać jakieś fajne zdjęcia, a ja będę się chwalił moją piękną siostrą, która jest taka dzielna i ratuje świat z dala od domu.

Lia się uśmiechnęła.

- Masz to jak w banku... W takim razie dzwonię do Bruce'a i zacznę się pakować. Muszę być na lotnisku o wpół do szóstej rano.

- Podwiozę cię. - Ojciec uśmiechnął się, mówiąc to, a matka zalała się łzami. Przez chwilę Lia zastanowiła się, czy jednak nie zmienić zdania, ale potem zerknęła na Angel i przypomniała sobie, na co potrzebuje pieniędzy.

Odsunęła się z krzesłem od stołu i poszła zadzwonić.

- No, no. - Jack Richards, pilot śmigłowca na Wildfire, przesunął niżej okulary przeciwsłoneczne i spojrzał ponad nimi. - Widzisz to samo, co ja, Sam?

Z małego samolotu wysiadła dwójka młodych ludzi, którzy szli teraz po asfalcie w stronę cienia. Mężczyzna był zapewne ratownikiem, stwierdził Sam, więc nic dziwnego, że Jack szturchnął go łokciem w żebra. Nowa pielęgniarka była bardzo atrakcyjna. Wysoka i szczupła, z burzą ciemnych kręconych włosów, które teraz rozwiewał wiatr. Miała na sobie krótkie spodnie, które podkreślały jej długie nogi. Duże ciemne okulary zakrywały połowę twarzy, mimo to nawet z tej odległości można było dojrzeć pięknie wykrojone usta, jakby zaprojektowane do śmiechu.

A może do całowania?

Więc to nawet dobrze, że będzie pracowała w szpitalu zamiast latać z przystojnym młodym pilotem. Romanse z przedstawicielkami tymczasowego personelu oczywiście się zdarzały, a Jack chętnie korzystał z okazji. Za to dla Sama to było nie do przyjęcia. Wyspa była jego domem i nie zamierzał angażować się w coś, co prowadzi do długotrwałych przykrych skutków ubocznych.

Z małego samolotu, który kursował między wyspą i Australią, wyładowano zaopatrzenie dla szpitala, między innymi paczki z lekami. Po wyjątkowo licznych drobnych wypadkach w ciągu minionych dwóch tygodni kończyły im się opatrunki i pakiety chirurgiczne do szycia ran.

- Sprawdźmy, czy jest wszystko, co zamówiliśmy - rzekł Sam do Jacka. - Nie powinniśmy zatrzymywać pilota.

Wiatr przybrał na sile, gdy szli w stronę samolotu.

- Witam. - Sam wyciągnął rękę do nowo przybyłego mężczyzny. - Sam Taylor, jestem jednym z lekarzy pracujących w tutejszym szpitalu.

- Miło mi poznać, jestem Matt.

- Witamy na Wildfire. To pana pierwszy raz w roli pracownika tymczasowego?

- Zgadza się. - Matt uśmiechnął się z żalem. - Może też ostatni, sądząc po tym locie.

- Och, niech pan da spokój, Matt. - Dziewczyna przytrzymała włosy obiema rękami, żeby nie zakrywały jej twarzy. - Było świetnie.

Jej uśmiech sugerował, że lot z turbulencjami to dla niej czysta przyjemność. Sam nie mógł powściągnąć uśmiechu. Czyżby była równie odważna jak atrakcyjna?

- Lia Roselli - przedstawiła się, jedną ręką puszczając włosy i wyciągając ją do Sama.

Wiatr przykleił loki do jej twarzy, roześmiała się, odsuwając je na bok. Jej śmiech był tak samo urzekający jak cała reszta. Nic dziwnego, że Jack szczyrzył zęby. Dopiero wtedy Sam uświadomił sobie, że jego twarz wciąż przecina szeroki uśmiech. Prawdę mówiąc, pozbycie się go wymagało pewnego wysiłku.

- Mam gdzieś gumkę. - Lia sięgnęła do miękkiej skórzanej torebki, która wisiała na jej ramieniu. - Przepraszam, powinnam wyglądać bardziej profesjonalnie.

- Nie mogła pani wiedzieć, że tu zanoszą się na cyklon. - Jack odwrócił się do niej, puściwszy dłoń Matta. - Jack Richards.

- Och, to pan jest moim pilotem. - Lia uściśnęła jego dłoń, porzucając poszukiwanie gumki. - To świetnie. Już nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy pracować.

- Pani jest ratownikiem?

Sam nie chciał tego powiedzieć z takim zdziwieniem. Zasłużył na spojrzenie, którym go obdarzyła dwójka nowo przybyłych. Nawet Jack uniósł brwi. Paroma słowami udało mu się nie tylko sprawić wrażenie, że jest uprzedzony do pielęgniarzy, ale także wyrazić wątpliwość w zdolność kobiet do znoszenia zagrożeń związanych z pracą ratownika medycznego, członka załogi śmigłowca. Choć właściwie wcale tak nie myślał. Jego ton był raczej wyrazem rozczarowania niż zdumienia. A przecież nawet pielęgniarki zamknięte w szpitalu nie są odporne na czar Jacka, więc co by to zmieniło dla Lii?

Dobry Boże... Czyżby ten dziwny niepokój oznaczał coś więcej niż rozczarowanie? Może nawet zazdrość?

- Sam nie dostał wszystkich informacji. - Jack próbował go ratować. - I muszę przyznać, że po raz pierwszy mamy kobietę ratownika.

- I pierwszego pielęgniarza? - Matt się uśmiechał. - To dobrze, że przylecieliśmy, prawda, Lia? Pora przebić ten szklany sufit.

Wszyscy się roześmiali i skrzępowanie minęło.

Kilka minut zajęło im sprawdzenie przywiezionych zapasów z listą zamówionych produktów, a gdy bagaże Lii i Matta wyniesiono z samolotu, Sam był gotowy przeprosić za swoje faux pas.

- To dobrze - odezwał się do Matta, kiedy nowy pielęgniarz wyjął plecak. - Staramy się zachęcić mieszkańców wyspy do nauki w szkole pielęgniarstwa. Będzie pan dla nich wzorem, który może otworzyć oczy choć kilku z nich. Zgodziłby się pan wpaść do liceum na Atangi i opowiedzieć o swojej pracy?

- Chętnie - odparł Matt. - Bardzo lubię moją pracę i z przyjemnością zachęcę do niej młodzież.

- Hej, ja też kocham swoją pracę. - Lia uśmiechała się promiennie do Sama. -

Może ja też mogłabym tam zajrzeć i zachęcić dziewczęta?

Jack znów się uśmiechał.

- Pani też jest gotowa na wszystko, co?

Oczywiście flirtował. Machnięcie warkoczem, w który Lia zaplotła włosy, też było jasną wiadomością.

- Wszystko, co jest związane z pracą.

Jej ton był ostrzeżeniem. Romans był ostatnią rzeczą, jaka chodziła jej po głowie, gdy zdecydowała się przyjąć tę ofertę. Ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślała, zważywszy na czas i energię, jakiej wymagała jej rodzina. Nawet gdyby była zainteresowana mężczyznami, Jack nie wchodził w rachubę. Zbyt często spotykała podobnych mężczyzn. Umawiała się z nimi na randki. Potem cierpiała porzucona, bo odchodzili, gdy tylko zauważali, że ona traktuje związek poważnie.

Czy jest zbyt obcesowa?

- Jestem gotowa na nowe doświadczenia, a jeśli mi się spodoba, wrócę tu. Wygląda na to, że człowiek, którego zastępuję, fatalnie złamał sobie nogę i jakiś czas nie będzie zdolny do pracy.

- Mówiłem mu, że paralotniarstwo to niebezpieczne hobby. - Jack wyciągnął rękę, jakby chciał wziąć bagaż Lii, ale potem zmienił zdanie i poprawił okulary.

Sam skrył uśmiech.

- Nie twierdzą, że nie był w tym dobry. - Teraz Jack przyglądał się chmurom. - Po prostu miał pecha.

- A ja szczęście. - Lia dźwignęła swój plecak, jakby ważył tyle co piórko. - Zwłaszcza jeśli chodzi o czas. Kto by pomyślał, że płacą więcej za przyjazd tu w porze cyklonów?

Skryty uśmiech Sama zgasł. Zakłopotana mina Lii uświadomiła mu, że nie udało mu się ukryć emocji, jednak tym się nie przejął. Nie będzie przejmował się kimś, kto przykładą dużą wagę do pieniędzy. Odwrócił się.

- Chodźmy - zwrócił się do Matta. - Pokażę panu, gdzie pan zamieszka, a potem oprowadzę po szpitalu.

Co się stało? Lia włożyła plecak i była gotowa ruszyć dalej. Czy ona także nie powinna obejrzeć swojego mieszkania? Czy nie byłoby właściwe, by ją oprowadzili choćby po oddziale ratunkowym, skoro ma przywozić poważnie chorych ludzi?

Może miało to coś wspólnego z mało subtelną próbą flirtu ze strony Jacka? Oczywiście od razu mu odmówiła. Przez kolejne dwa tygodnie mają razem pracować i jedyna relacja, jaka wchodzi w grę, to relacja zawodowa oparta na wzajemnym szacunku i zaufaniu.

A co z reakcją na to, że Matt jest pielęgniarzem?

Entuzjazm Lii lekko przygasł. Czy pielęgniarzki, które przyjeżdżają tu na krótko, są tak dobrze opłacane, bo zakładano, że zagwarantują mężczyznom pracującym w oddalonych od świata miejscach dodatkowe usługi?

Zapewne te, które pracowały z Samem Taylorem, tak właśnie robiły - jeśli był samotny, co z kolei wydawało się mało prawdopodobne. Ilu jest równie atrakcyjnych samotnych mężczyzn po trzydziestce?

Sam miał w sobie coś, co nie pasowało do obrazu, jakiego mogłaby się spodzie-

wać. Coś, co sprawiało, że wyglądał, jakby znalazł się tu przez pomyłkę.

Nie tak jak Jack o urodzie pirata i tupecie, który sugerował, że lubi żyć na krawędzi, więc ta oddalona od świata wyspa całkiem do niego pasowała. Ale Sam? Zdawało się, że gra jakąś rolę. Z niebiesko-szarymi oczami i rozjaśnionymi słońcem ciemnoblonde włosami mógłby być aktorem, który gra rolę lekarza w tropikalnym raj.

Intrygujące. Zaraz potem Lia przypomniała sobie, że mężczyźni jej nie interesują.

Gdyby jednak było inaczej, nie miałyby problemu z wyborem. A zatem dobrze się złożyło, że Sam nie okazał zainteresowania jej osobą. Wręcz przeciwnie, sądząc z tego, że właśnie zaczął się oddalać.

- Chyba nas porzucili. - Jack wzruszył ramionami. - Chce pani zerknąć na śmigłowiec, zanim pokażę pani resztę?

- Jasne. - Lia odwróciła głowę z uprzejmym uśmiechem. - To BK117, prawda? W pełni wyspecjalizowany?

- Mamy na pokładzie wszystko, czego zapragnie pani serce ratownika. Nawet przenośny respirator i ultrasonograf.

- Wspaniale. Jedyne, czego potrzebuję, to wyjątkowo sprawny pilot.

- Do usług. - Jack poprawił grzywkę. - Być może przekraczam granice, ale nie ryzykuję życia swojego ani załogi. - Uśmiechnął się. - A sądząc z pani CV, będzie pani jednym z najlepszych ratowników, z jakimi pracowałem. I proszę wybaczyć, zwykle nie zachowuję się jak dupek. Ta praca to moje życie. Może trochę za bardzo się ekscytuję, spotykając kogoś, kto dzieli moją pasję.

Więcej nie będzie tego próbował. Tym razem jego uśmiech był szczery.

- Dogadamy się, Jack. - Odwróciła głowę w stronę wózka golfowego, który wzniecił chmurę pyłu, zabierając Sama i Matta z pasa startowego. Pytanie, czy dobrze dogada się z miejscowym personelem, to inna sprawa.

- Czy... obejrzymy też szpital?

- To pani baza. - Jack skinął głową. - Zwykle siedzimy w pokoju służbowym, żeby być w zasięgu radia. Podejrzewam, że wciągną też panią do pomocy na miejscu. Stale brakuje nam personelu.

A zatem znów zobaczy Sama. I to pewnie nieraz.

Zresztą jakie to ma znaczenie. Jeśli w ogóle, powinna w tym widzieć potencjalny konflikt, biorąc pod uwagę jego zachowanie. Czemu więc nagle się ucieszyła?

Bo nie mogła oprzeć się wyzwaniu? Nie miałyby nic przeciw temu, by dowiedzieć się, jak Sam się tam znalazł i czemu tam pozostał. I zdecydowanie chętnie utarłaby mu nosa, udowadniając, że kobieta w roli ratownika jest nie mniej warta niż mężczyzna.

A Lia była w tym bardzo dobra.

Poszła za Jackiem do śmigłowca, który opierał się silnym porywom wiatru. W tych warunkach pogodowych nie zapowiadało się, że szybko gdzieś polecą, ale im szybciej tym lepiej.

Poczuła, że zaciska dłonie w pięści.

No to do dzieła...

ROZDZIAŁ DRUGI

- O co chodzi z tym białym fartuchem, Sam?

- To mój lekarski fartuch. - Uśmiech na twarzy jego ulubionej pielęgniarki był irytujący. - Ty musisz na co dzień nosić swój uniform, Ana. Co w tym złego, że wyglądam trochę bardziej profesjonalnie? Poza tym nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jakie użyteczne są te kieszenie. Patrz, mogę tu zmieścić notes i telefon, a nawet stetoskop. - Wyjął z pojemnika na ścianie sterylne rękawiczki i włożył je do kolejnej kieszeni. - Jestem gotów na wszystko.

- Wyglądasz raczej, jakbyś miał wystąpić w reklamie proszku do prania. - Zniżyła głos. - Testy laboratoryjne udowodniły, że Wonder Wash jest tysiąc procent skuteczniejszy niż inne wiodące marki.

Sam prychnął.

- Zmieniłaś się, Ana. Kiedyś okazywałaś mi więcej szacunku.

Ana uśmiechnęła się szerzej.

- Może dlatego, że jestem teraz szczęśliwą mężatką.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- To prawda. Bardzo się z tego cieszę, chociaż nie zaprosiłaś mnie na wesele.

- Akurat byś wszystko rzucił i przyleciał do Londynu. Wystarczająco trudno było przekonać do tego moją matkę. Zresztą niedługo będziesz miał ślub tutaj.

- Racja. Caroline i Keanu pobierają się w przyszłym tygodniu, tak?

- Za dwa tygodnie. Och, kogo Jack tu prowadzi?

Sam odwrócił głowę. Szerokim przejściem łączącym trzy skrzydła szpitala umieszczone wokół bujnego tropikalnego ogrodu szły dwie osoby. Lia wskazała na coś ręką i na moment się zatrzymała. Może dojrzała egzotycznego ptaka?

Sam przyłapał się na tym, że wygląda poły fartucha. Nie zamierzał wyjaśniać Anie, dlaczego tego dnia chciał wyglądać wyjątkowo profesjonalnie.

- To nowa ratownicza. Przyleciała wczoraj z nowym pielęgniarem. Poznałaś już Matta?

- Oczywiście. Kapie Rangiego. - Uśmiechnęła się. - To może trochę potrwać. Sport jest do umycia.

- Musimy obniżyć jego wagę. Cukrzyca i odleżyny to tylko początki jego problemów zdrowotnych.

- Hm. Muszę powiedzieć, że miło jest mieć przez chwilę pielęgniara. Matt nie potrzebował nawet wyciągu, żeby podnieść Rangiego z łóżka. - Jednak w tym momencie Anę bardziej ciekawiło coś innego. - Jak się nazywa nowa ratownicza?

- Lia... coś tam. Brzmi po włosku.

- Wygląda na Włoszkę. Piękna kobieta.

Tym razem Sam powinien udać zainteresowanie, musiał jednak znów odwrócić głowę. Jack i Lia byli już dużo bliżej. Nic dziwnego, że Ana była pod wrażeniem.

Krótkie spodnie i burza ciemnych włosów, które pamiętał z pasa startowego, znik-

nęły. Lia miała na sobie długie ciemne spodnie i czarny T-shirt z czerwonym symbolem lotniczego pogotowia Wildfire. Włosy miała misternie splecione. Wyglądała... profesjonalnie.

- Hej, Ana. To Lia, nowy członek mojej załogi. Lia, to Anahera Kopu, jedna z naszych stałych pielęgniarek.

- Teraz Wilson, Jack. Wyszłam za męża, zapomniałeś? - Ana wyciągnęła rękę do Lii. - Musi mi pani pokazać, jak się tak uczesać. Wygląda to niesamowicie.

- To bardzo proste. A poza tym moje gratulacje. Rozumiem, że jest pani świeżą mężatką?

- Od dwóch miesięcy. Właśnie wróciłam z Londynu. Miesiąc miodowy spędziliśmy w Paryżu.

- No, no. Dwa miasta, które chciałabym zobaczyć.

- Nie była tam pani?

- Podróże zawsze były dla mnie za drogie - odparła Lia z uśmiechem. - Dlatego podróż tutaj jest tak ekscytująca.

Bo znalazła się w nieznanym miejscu czy dlatego, że może zarobić? Wywołany napięciem ucisk w żołądku był dla Sama równie nowy jak długie rękawy fartucha na ramionach. Zaczął je podwijać.

- Zaczniemy od przychodni, Ana. - Kiwnął Lii głową. - Czy Jack pomógł się pani rozgościć? Jest pani zadowolona z mieszkania?

- Jest fantastyczne. Obudziłam się dziś rano, wyjrzałam na morze i te wszystkie wyspy, i nie mogłam uwierzyć, jak tu pięknie.

Nie tylko jej oczy lśniły radością, zdawało się, że cała jej twarz promienieje.

- Przy ładnej pogodzie wygląda jeszcze lepiej. - Sam odwrócił się do Jacka. - Sprawdzalesz najnowsze prognozy? Jak przebiega ten cyklon?

- Trochę za blisko. Może nas czekać parę niemiłych dni.

- W takim razie lepiej sprawdzę zapasy na ratunkowym - rzekła Ana. - Jak jest cyklon, zawsze brak nam opatrunków i zestawów do szycia. Czasami aż trudno uwierzyć, co może w człowieka uderzyć.

- Hettie się tym później zajmie, jak zrobi się spokojnie. Ma popołudniową zmianę, tak?

Ana przytaknęła.

- No to zobaczą, ile osób siedzi w poczekalni.

- Chętnie rozejrzałamby się po waszym oddziale ratunkowym, jeśli można - rzekła Lia.

Po krótkiej chwili ciszy Sam uprzytomnił sobie, że to on był adresatem tych słów. Czuł na sobie wzrok Lii.

- Oczywiście. - Patrzył jej w oczy tak długo, by jeszcze wyglądało to uprzejmie. - Jack panią oprowadzi. Proszę obejrzeć całe... - Przerwał mu dźwięk telefonu. Sięgnął do kieszeni, w której miał też stetoskop, więc wyplątawszy z niego telefon, założył stetoskop na szyję.

Spodziewał się tego telefonu.

- Tak, wszystko załatwione, Pita. - Oddalił się od pozostałych i zniżył głos. - Dzisiaj rano jestem w przychodni, ale zostawię to obok radia w pokoju służbowym. Biała koperta z twoim nazwiskiem.

Usłyszał wybuch śmiechu za plecami. Kończąc rozmowę, ruszył przed siebie. Wiedział, że poczekalnia szybko się zapełni. Nie miał czasu na pogaduszki. Nie napije się nawet kawy.

Co prawda nawał zajęć nie tłumaczył dziwnego napięcia. Może miało to związek z faktem, że oddalając się, cały czas czuł na sobie wzrok Lii.

Déjà vu.

Lia odprowadzała Sama spojrzeniem. Może będzie musiała przywyknąć do uczucia, że nie jest tu mile widziana. Z pewnością nie wolno jej zbyt się tym przejmować. Uśmiechnęła się siłą woli, odwracając się do Jacka i Any, ale oni akurat wymieniali spojrzenia.

- O co chodzi z tym białym fartuchem? Sam był rano w laboratorium czy co?

Ana pokręciła głową.

- Nic o tym nie wiem. - Uśmiechnęła się. - Powiedział, że chce wyglądać profesjonalnie.

Lia przygryzła dolną wargę, by nic nie powiedzieć. Na przykład że francuski warokocz, który zaplotła, nie jest wcale tak prosty, jak zapewniła Anę. Zrobienie go zajmowało mnóstwo czasu, lecz doprowadzając swój wizerunek do perfekcji, Lia myślała o Samie.

Czy on w tym nieskazitelnie białym fartuchu myślał o niej? Chciał zrobić na niej wrażenie?

Wciąż znajdował się w zasięgu jej wzroku. Prawdę mówiąc, akurat się zatrzymał i patrzył na coś w ogrodzie. Lię urzekło stadko papug w kolorach tęczy, pokazała je Jackowi, lecz ten nie okazał zainteresowania, bo widział je na co dzień, a zatem ptaki nie mogły też przyciągnąć uwagi Sama.

- Ana! - zawołał spokojnie Sam, choć w jego głosie dało się słyszeć, że to coś pilnego. - Przywieź wózek reanimacyjny, dobrze? Ktoś leży na ścieżce.

Zniknął za bujnymi krzewami, które rosły wzdłuż przejścia. Reakcja Lii była automatyczna. Gdy Ana zniknęła za drzwiami, Lia pospieszyła w stronę Sama. Gdy przebrnęła przez krzaczaste ogrodzenie do miejsca, gdzie Sam przykucnął nad leżącym człowiekiem, słyszała za sobą stukot kółek wózka.

- Oddycha?

- Nie wiem. Pomoże mi pani go przewrócić?

Mężczyzna był potężny. Lia natychmiast przekrzywiła mu głowę, by się upewnić, że drogi oddechowe są drożne, następnie przyłożyła policzek do twarzy mężczyzny i położyła rękę na jego przeponie.

- Nie oddycha.

Sam przyłożył palce do szyi mężczyzny.

- Nie czuję pulsu.

Ana szukała miejsca, gdzie mogłaby przejechać wózkiem, pomagał jej w tym Jack. Nie było czasu do stracenia. Lia przyłożyła dłonie w centralnym miejscu klatki piersiowej mężczyzny i zaczęła ją uciskać, nie czekając na polecenia Sama.

- Ciekawe, jak długo tak leży.

- Niedługo, mam nadzieję. Myślę, że to odgłos jego upadku kazał mi spojrzeć ponad ogrodzeniem. Upadając, złamał kilka gałązek.

Lia czuła na sobie wzrok Sama. Oceniał jej pracę. Ma prawo. Ponieważ mężczyzna był masywny, trzeba było siły, by jego serce zareagowało. Lia czuła pot na czole, ale nie przerywała. Uciskała mocno co najmniej sto razy na minutę.

Tymczasem Ana rzuciła Samowi maskę tlenową, zatrzymując wózek. Złapał ją i jednym zwinnym ruchem założył na nos i usta mężczyzny. Splótł palce pod jego brodą, by ją docisnąć, a potem zerknął na Lię, która przerwała uciski, by wtłoczyć w płuca mężczyzny trochę powietrza. Piers mężczyzny dwa razy uniosła się i opadła, Lia podjęła uciski, gdy tylko zobaczyła, że pierś opada po raz drugi. Ręce bolały ją z wysiłku, ale nie mogła zwolnić, nawet gdy Ana przecinała T-shirt pacjenta i przykładała do jego ciała łopatkę defibrylatora.

Zaczęła głośno liczyć, by Sam wiedział, kiedy ma wtłoczyć powietrze. Jack dołączył do maski butlę z tlenem.

- Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści... - Uniosła rękę.

Zakłócenia na ekranie defibrylatora uspokajały się, widzieli teraz, że pacjentowi zagraża migotanie komór.

- Chodź tu i zastąp mnie. - Sam zwrócił się do Any. - Podłączę mu kroplówkę po pierwszym wstrząsie. Odsuń się - powiedział do Lii.

Rytm serca nie uległ zmianie.

- Chcesz odpocząć, Lia? - Sam wziął z wózka kroplówkę.

- Nie, dam znać, kiedy będę chciała.

- Dobra robota. Zastąpię cię po następnym wstrząsie.

Pochwała wystarczyła, by ból rąk ustąpił i żeby Lia zignorowała spływające do oczu piekące krople potu.

Skrepowany fartuchem Sam zdjął go i rzucił na dolną półkę wózka. Potem dość szybko podłączył kroplówkę, by podać pierwszą dawkę leku przed upływem dwóch minut od rozpoczęcia reanimacji.

- Wiecie, kto to? - spytał Jack.

- Brat Rangiego, Keoni - odparła Ana. - Zdaje się, że był na dziś zapisany na wizytę. Sam chciał, żeby cała rodzina zrobiła badania na cukier.

- Odsunąć się - polecił Sam.

Lia przysiadła na piętach, gotowa usunąć się z drogi. W następstwie kolejnego wstrząsu na ekranie defibrylatora pojawił się sygnał normalnego uderzenia serca. Potem drugi i trzeci.

- On się krztusi - stwierdziła Ana chwilę później. - Zabiorę mu tlen.

- Potrzebujemy łóżka - stwierdził Sam. - I kilka dodatkowych par rąk, żeby go przenieść.

- Zawołam Matta. - Ana podniosła się na nogi. - I kogo tam jeszcze znajdem. A może będę ci tu potrzebna, Sam?

Sam spotkał się wzrokiem z Lią.

- Nie... idź. Damy sobie radę.

Kontakt wzrokowy trwał moment, lecz Lia odniosła wrażenie, że zdała jakiś egzamin.

I otrzymała dobrą ocenę.

Zawsze miło jest oszukać śmierć i przeprowadzić skuteczną reanimację po zatrzymaniu akcji serca, ale tym razem radość była większa. To zespołowe zwycię-

stwo, a Sam okazał się kompetentnym liderem.

- Zabierzemy go na intensywną terapię - oznajmił Sam. - Możesz do nas dołączyć, Lia, i zacząć zaznajamiać się ze szpitalem.

- Pomogę wam go przenieść - powiedział Jack. - Potem trzeba ludzi poinformować, że przychodnia zacznie dziś funkcjonować trochę później.

- Zadzwoń do Keanu. On może przyjść wcześniej. - Sam wyregulował pokrętłem natężenie przepływu płynów infuzyjnych w kroplówce dostarczanych z plastikowego worka, którą trzymał w ręce. - Zapowiada się kolejny z tych dni.

W jego oczach był błysk sugerujący, że najbardziej lubił takie właśnie dni. Lia spojrzała na niego z uśmiechem. Ona też kochała adrenalinę towarzyszącą działaniu w nagłych wypadkach. Wyzwanie związane z wieloma zadaniami naraz, gdy wyglądało na to, że jest ich zbyt wiele, by człowiek sobie z nimi poradził.

Mówiąc szczerze, uśmiechanie się do Sama nie wymagało wysiłku. Bez sztywnego fartucha wyglądał dużo lepiej. Koszula z krótkim rękawem rozpięta pod szyją odsłaniała opaloną skórę. Podczas tych intensywnych działań kilka razy musiał odgarnąć z czoła muśnięte słońcem włosy, które teraz nie wyglądały zbyt porządnie.

Jego krzywemu uśmiechowi trudno się było oprzeć. Ciekawe, jak wyglądał, gdy był szczerze rozbawiony i zmarszczki w kącikach oczu się pogłębiały? Jak brzmi wtedy jego śmiech?

Podejrzewała, że jest zaraźliwy. Czyżby jej wcześniejsze wrażenie było nieuzasadnione? Może Sam jest całkiem sympatyczny. Bezsprzecznie jest świetnym lekarzem, a to więcej niż dość, by przegnać jej wątpliwości związane z pracą w tym miejscu.

Ze wszystkich stron nadchodziła pomoc. Sam koordynował pracę ludzi, którzy mieli podnieść Keoniego i położyć go na wózku, a także ostrożnie obchodzić się ze sprzętem, by go nie odłączyć od pacjenta. Na wózku między nogami pacjenta Sam położył defibrylator, by kontrolować na ekranie pracę serca.

Wózek szpitalny był bez stojaka do kroplówki, więc ktoś musiał nieść pojemnik z płynem dość wysoko, by nie zatrzymać przepływu. Zadanie to przypadło Jackowi, który był poza Samem najwyższą spośród znajdujących się tam osób.

Pacjent zaczynał oddychać samodzielnie, lecz nie dość szybko, więc ktoś musiał iść obok wózka i przytrzymywać maskę tlenową, by w razie konieczności wspomóc oddychanie. W innych okolicznościach Sam prosiłby o to Anę, ponieważ była najbardziej doświadczoną pielęgniarką. A jednak zajmowała się tym Lia, gdyż Ana poszła po dodatkową pomoc. Lia okazała się więcej niż kompetentna. Byłoby nieuprzejmie odsuwać ją teraz na bok, a zresztą zaprosił ją przecież na oddział.

Poza tym... Niezależnie od tego, jak mocno skupiał się na pacjencie, który wciąż znajdował się w stanie krytycznym, jakaś jego część doceniała obecność Lii, a nawet się z niej cieszyła.

Nie tylko dlatego, że znakomicie poradziła sobie w trudnej sytuacji, i nie dlatego, że jako mężczyzna znajdował przyjemność w bliskości ładnej kobiety. Być może był gotów dać jej szansę, by udowodniła, że jego pierwsze wrażenie było mylne.

A może ma to coś wspólnego z jej uśmiechem.

- U siebie zawiozłabym go do szpitala, gdzie jest pracownia cewnikowania - rze-

kła Lia, gdy pchali wózek przejściem. – Robicie tu angiografię?

– Nie – odparła Ana. – Mamy mnóstwo rzeczy, o których szpitale na końcu świata tylko marzą, choćby tomograf, ale pracownia cewnikowania to za dużo.

– Więc jak leczycie pacjentów kardiologicznych?

– Robimy ekg z dwunastoma odprowadzeniami – odparł Sam. – I prześwietlenie klatki piersiowej. Możemy sprawdzić enzymy sercowe i robimy trombolizę, jeśli jest wskazana.

Sam zignorował gwizd uznania.

– Gdy jego stan będzie dość stabilny, załatwimy przewóz do szpitala na ląd, gdzie zrobią mu angiografię i angioplastykę. A jeśli to konieczne, operację serca.

Znów rozległ się gwizd uznania. Marszcząc czoło, Sam podniósł wzrok z ekranu i zobaczył, że Lia sięgnęła do kieszeni spodni po komórkę.

Co, do diabła? Wciąż jedną ręką przytrzymywała maskę pacjenta, ale czy to właściwe zachowanie? Czy w ogóle słyszała odpowiedź na swoje pytanie?

Zaraz potem cofnęła się i zaczęła pisać esemesa, a personel ustawiał łóżko i sprzęt, który w sali był już dostępny. Wrażenie kompetencji i profesjonalizmu Lii zaczęło blednąć, może dlatego Sam kazał jej zinterpretować ekg, gdy tylko umocował odprowadzenie z klatki piersiowej i wydrukował wynik.

Podszedł blisko, by trzymać wydruk tuż przed jej oczami.

– I co pani myśli?

Lia gwałtownie podniosła wzrok znad telefonu, ale wciąż ścisnęła go w ręce, kierując uwagę na wydruk.

Przyglądała mu się równie krótko jak Sam.

– Wysokie załamki T i znaczące uniesienie odcinka ST w V3 do V5. Wygląda na rozległy zawał przedniej ściany.

Sam chciał ją sprawdzić.

– A co z blokiem odnogi pęczka przedsionkowo-komorowego?

– Występuje blok lewej odnogi pęczka Hisa, ale uniesienie odcinka ST jest większe, niż można by się spodziewać i mamy tu załamek Q...

Dotąd nie zauważył, jak delikatne miała palce. Długie i szczupłe, z krótko obciętych paznokciami, bez pierścionków. Tak lekko dotykała papieru, że nawet nie drgnął, a jednak czuł ten dotyk koniuszkami palców.

– Są też zmiany w pozostałych odprowadzeniach – dodała. – To dość rozstrzygające.

Powinien być pod wrażeniem. Mógłby jej nawet to powiedzieć, gdyby znów nie odezwał się ten przeklęty gwizd. Policzki Lii poczerwieniały.

– Przepraszam. Chciałam to wyciszyć.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Może powinna pani zostawić prywatne sprawy na godziny po pracy.

– Pobrałam krew do analizy. – Ana trzymała fiolki z krwią. – Niektóre trzeba zanieść na dół do laboratorium. Chcesz, żebym zrobiła markery sercowe?

– Ja się tym zajmę. – Sam odwrócił się od Lii. – Ustaw poziom tenekteplazy. I podkręć trochę atropinę. Rytm jest zatokowy, ale zbyt wolny.

Zerkając kątem oka, zobaczył, że Lia znów pisze esemesa. Już wiedziała, że potrafią oznaczyć troponinę czy kinazę keratynową oraz stężenie mioglobiny we krwi

- wszystko to były markery wskazujące na to, czy ktoś przeszedł zawał serca i jak rozległy, ale z pewnością powinna być zainteresowana informacją, że w śmigłowcu, którym będzie latała, ma do dyspozycji sprzęt służący do wykonywania tego rodzaju badań.

Nie był to tani sprzęt, ale podobnie jak kilka innych sprzętów był dla Sama wystarczająco ważny, by po cichu zakupił go z własnych środków.

Nie chciał, by Lia czy inni o tym wiedzieli. Może więc lepiej, że nie okazała zainteresowania i nie zadawała krępujących pytań. W końcu schowała przekłuty telefon, kiedy odezwał się pager Jacka.

- Chyba mamy wezwanie. Chodź, Lia. Pokażę ci, jak działa system radiowy.

- Do diabła... - Szelki zacisnęły się, trzymając Lię mocno na siedzeniu śmigłowca, który walczył z wiatrem. - Daleko lecimy?

- Jeszcze tylko pięć minut.

Głos Jacka brzmiał spokojnie w słuchawkach kasku, choć spojrzał na nią z ukosa z pewnym niepokojem.

- To dość rzadkie warunki. Wszystko w porządku?

- Żartujesz? - Lia zaśmiała się głośno, gdy znów się zakołysali. - Jak to Kocham!

Tym razem spojrzał na nią z podziwem.

- Na twoim miejscu siedziało kilku gości, którym w podobnej sytuacji knykcie by pobielały.

- Jak dotrzemy do pacjentów, kiedy pogoda się pogorszy? Myślisz, że cyklon tu uderzy?

- To coraz bardziej prawdopodobne. Może się zdarzyć, że przez dzień czy dwa nie będziemy latać. W takim wypadku do bliższych wysp docieramy łodzią. Jak sobie radzisz na wzburzonym morzu?

Lia się uśmiechnęła.

- Całkiem to lubię.

Jack pokręcił głową i zamilkł, skupiony na śmigłowcu. Główna wyspa o nazwie Atangi znajdowała się już w zasięgu wzroku. Lia widziała, że była bardziej zaludniona niż Wildfire. Gdzieś pośród tych budynków znajdował się gabinet, do którego lecieli.

- Kiedyś jeździłam konno - oznajmiła. - Najbardziej lubiłam bieg przełajowy. Lot czy płynięcie łodzią w trudnych warunkach pogodowych to jak udział w zawodach przełajowych, kiedy nie wiesz, gdzie będzie kolejna przeszkoda ani jak duża.

- Nadal jeździsz konno?

- Nie. To dość kosztowne hobby. Poza tym... - krzyknęła, gdy wpadli w większą turbulencję - teraz praca dostarcza mi dość podniet.

- Taa. - Najwyraźniej się z nią zgadzał. - Posadźmy to maleństwo na ziemi i miejmy nadzieję, że nasza pacjentka dobrze zniesie lot powrotny. Jeśli nie, do ciebie należy sprzątanie.

- Nie sądzę, kolego. - Lia wciąż się uśmiechała. - To twój śmigłowiec.

ROZDZIAŁ TRZECI

W przychodni na Atangi pracowała starsza pielęgniarka, Marnie, która czekała na nich w drzwiach, gdy wylądowali na boisku po drugiej stronie drogi. Jack poszedł z Lią na wypadek, gdyby trzeba było wrócić po nosze.

- Starajcie się jej nie przestraszyć - uprzedziła Marnie. - Trudno było ją przekonać, żeby tu przyszła, może próbować uciec. Co prawda daleko nie ucieknie.

- Jak się nazywa? - spytała Lia. - I co jej dolega?

- Na imię ma Sefina. Mieszka na skraju wioski i mało kontaktuje się z ludźmi, oczywiście.

Oczywiście? Lia usłyszała w głowie ostrzegawczy dzwonek. Chciała spytać, czemu to takie oczywiste, że Sefina żyje w odosobnieniu, ale pielęgniarka ciągnęła:

- Zajrzałam tam, kiedy szłam na lunch, bo nie pojawiła się w zeszłym tygodniu na szczepienie Joniego w piętnastym miesiącu i chciałam jej przypomnieć, jakie to ważne.

- Joniego?

- Jej syna. W każdym razie, kiedy w końcu otworzyła, widziałam, że stało się coś złego. Powiedziała, że upadła na skały, ale...

- Ale co?

- Wszyscy wiedzą, do czego jej mąż Louis jej zdolny po paru kieliszkach - mruknął Jack. - O tym myślisz, Marnie?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Nie moja sprawa. Poszłam z powodu Joniego.

Lia spojrzała na Jacka, unosząc brwi. Co się tam dzieje? To małe miasto i wszyscy na pewno się tu znają.

- To długa historia - rzekł cicho Jack. - Potem ci opowiem.

Na środku gabinetu na podłodze siedział mały chłopiec o skórze koloru kawy, z burzą ciemnych loków. Na widok obcych jego twarzyczka się skurczyła i zaczął płakać, wyciągając ręce i łapiąc nogę matki.

Matka jednak nie była w stanie mu pomóc, gdyż właśnie wymiotowała do zlewu.

Lia podeszła do niej szybkim krokiem.

- Sefina? Jestem Lia. Przyleciałam pani pomóc.

Sefina podniosła wzrok, zakręcając kurek. Lia z przerażeniem spojrzała na jej twarz. Jedno oko miała tak spuchnięte, że nie mogła go otworzyć, a nad nim znajdowała się wymagająca szycia rana. Na ciemnej skórze Sefiny widać było siniak. Lia była też zszokowana jej młodym wiekiem. Sądząc z wyglądu, była jeszcze nastolatką, a przy tym już matką.

- Nic mi nie jest. Nie chciałam tu przychodzić. Marnie nie powinna była was wzywać.

- Wiem. - Lia starała się dodać jej otuchy. - Ale skoro już tu jesteśmy, proszę pozwolić, że panią obejrzę. Jestem tu nowa, więc muszę mieć pewność, że niczego nie

zaniedbam. Jest pani moją pierwszą pacjentką.

Chciała dać Sefinie do zrozumienia, że nie ma pojęcia, co każe jej trzymać się z dala od społeczności, w której żyje, i że proponuje jej pomoc, nie oceniając jej. Jednak nie zamierzała dać się spławić. Dojrzała więcej niż kroplę krwi w umywalce, zanim kobieta zakręciła kurek, a to oznaczało ewentualność obrażeń wewnętrznych.

- Marnie nie powinna po was dzwonić. Nic mi nie jest.

Powtarzanie tych samych słów wywołało kolejny alarm w głowie Lii. Uraz głowy wystarczał, by spowodować wstrząśnienie mózgu.

- Wie pani, jaki mamy dzisiaj dzień, Sefino?

- Marnie nie powinna po was dzwonić. - Sefina odwróciła się od umywalki. - Joni, chodź tu. Wracamy do domu.

Zaczęła pochylać się, by podnieść syna, który wciąż przywierał do jej nóg, ale wtedy chwyciła się za brzuch i zgięła z krzykiem. Podtrzymując ją, Lia pozwoliła jej osunąć się na podłogę, bo stało się jasne, że kobieta nie dotrze do kozetki. Cokolwiek jej dolega, wymaga badań, których nie mogli tu wykonać.

- Jack? - Wiedziała, że czekał tuż za drzwiami. - Potrzebne nam nosze. Sefina nie jest w stanie iść.

Nie dało się rozpocząć badania Sefiny, bo Joni próbował objąć ją za szyję. Lia podniosła chłopca i odwróciła się do Marnie, która przyglądała im się z rękami splecionymi na obfitym biuście.

- Może pani zająć się Jonim? Muszę zbadać Sefinę.

- Nie. - Sefina z trudem usiadła, ale zaraz potem opadła znów na podłogę, krzycząc z bólu.

Wahanie, a potem powściągliwa zgoda pielęgniarki zirytowały Lię. Cokolwiek ta wioska ma przeciw dziewczynie, nie wolno tego przenosić na dziecko. Lia zacisnęła wargi. Spotkała się z Jackiem w poczekalni.

- Musimy zabrać Sefinę do szpitala. Jej brzuch jest twardy, podejrzewam, że krwawi pęknięta śledziona. Poza tym ma uraz głowy i nie da się powiedzieć, jak poważny. Trzeba zrobić tomografię.

Jack kiwał głową.

- No to chodźmy.

- Jeszcze coś - dodała Lia. - Nie zostawię tu dziecka. Jest duże ryzyko, że jej obrażenia nie są przypadkowe. Nie pozwolę, żeby malec wrócił do ojca, a mam przecucie, że nikt tu nie zechce się nim zaopiekować.

- Louis nie jest jego ojcem - oznajmił Jack.

Lia zamrugała. Czy w tym tkwi problem? Czy Sefina oszukała męża i wszyscy o tym wiedzą? Czy jej podły mąż uważa, że daje mu to prawo, by ją pobić tak, że jej życie może być zagrożone?

- Tym bardziej musimy zabrać Joniego.

- To będzie trudny lot.

- Przypniemy go. Albo ja będę go trzymać. W drodze i tak na niewiele przydam się Sefinie. Dam jej lek przeciwbólowy i jakieś płyny, trzeba ją jak najszybciej przewieźć do szpitala. Mam nadzieję, że zdążymy, zanim warunki się pogorszą.

Sam, Hettie i Anahera czekali na oddziale ratunkowym, poinformowani przez radio o pacjentce z urazem.

Jack i Manu, szpitalny portier, pchali nosze na kółkach. Lia trzymała w ramionach przerażone dziecko. Sam już słyszał o chłopcu, wszyscy w tej społeczności słyszeli. Nigdy jednak go nie widział. Ani jego matki.

Dobry Boże, wyglądała tak młodo...

- Połóżmy ją na łóżku. - Sam stanął za głową kobiety. - Na trzy. Raz... dwa... trzy...

Przenieśli Sefinę z noszy na łóżko. Lia zbliżyła się do Sama, mimo to musiała mówić głośniej, by przekrzyknąć płaczące dziecko.

-To Sefina Dason - oznajmiła. - Ma uraz głowy i brzucha. Przytomność czternaście w skali Glasgow. Powtarza wciąż te same słowa i wymiotuje. Brzuch ma twarde, ciśnienie sto na czterdzieści. Podniesione z dziewięćdziesięciu na czterdzieści po litrze soli fizjologicznej. Rytm zatokowy, tachykardia sto trzydzieści pięć na minutę, częstość oddechów trzydzieści na minutę. Saturacja na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent. Po tlenie wzrosła do dziewięćdziesięciu ośmiu. Dostała dziesięć miligramów morfiny. Wstępna diagnoza to pęknięcie śledziony i wstrząśnienie mózgu.

Hettie założyła pacjentce mankiet aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Mechanizm urazu? - spytał Sam.

- Najwyraźniej upadła na skałach.

Sam uniósł brwi, słysząc ton Lii, kiedy wziął od niej raport. Zerkając na jej notatki, zobaczył znak zapytania przed słowami „uraz nie spowodowany wypadkiem”.

To poważne oskarżenie. Spojrzał w oczy Lii i dojrzał w nich złość. Zaczęła coś mówić, ale jej nie słyszał, bo dziecko było zbyt głośne.

- On też ma jakiś uraz?

- Nic o tym nie wiem.

- To czemu go pani przywiozła? Na pewno ktoś z rodziny czy przyjaciel mógłby się nim zająć.

Hettie podłączała kroplówkę, odwróciła się i popatrzyła na dziecko. Sam widział na jej twarzy współczucie.

- Ja go wezmę - powiedziała - a wy dokończcie przekazanie pacjentki. - Wzięła Joniego na ręce. - Może jest głodny. Sprawdzę, czy Vailea ma w kuchni coś do jedzenia. Może lody. - Tuliła do siebie chłopca. - Lubisz lody, kochanie?

Sefina chyba nawet nie zauważyła, że zabrano jej syna. Po morfinie była senna. A może po urazie głowy.

- Sprawdź jeszcze objawy czynności życiowych, Ana. Ja zrobię jej usg jamy brzusznej.

Gdy odwrócił się po sprzęt, Lia mierzyła go lodowatym wzrokiem. Odsunęła się od łóżka, przekrzywiając głowę.

- Proszę spojrzeć na pacjentkę - rzekła cicho, ale stanowczo. - Na jej brzuchu znajdzie pan ślady, które wyglądają na podeszwę buta. Zostawiłby pan dziecko pod opieką kogoś, kto mógł to zrobić?

- Oczywiście, że nie. - Atmosfera była już tak napięta, że drobna rzecz mogła doprowadzić do wybuchu, ale tym razem nie miało to nic wspólnego z wyglądem Lii ani jej charakterem. Teraz byli oboje po tej samej stronie.

Sam czuł złość, choć o dziwo, odnajdywał w tej sytuacji coś pozytywnego. Dobrze mieć Lię po swojej stronie. Jakby razem tworzyli siłę, z którą należy się liczyć.

- Czy policja została powiadomiona?

- Jeszcze nie. Nie znam waszego protokołu, zresztą najważniejsze było przywiezienie tu Sefiny.

Kiwnąwszy głową, Sam odwrócił się znów do pacjentki. Lia ma rację, powinni działać szybko. Gdy upewni się, że stan Sefiny jest stabilny, zrobią jej tomografię, a potem podejmą leczenie. W tym momencie wygląda na to, że nie obędzie się bez pilnej operacji. Historia jej obrażeń i ich reperkusje muszą poczekać.

Kiedy Hettie oddaliła się z Jonim, brakowało im jednego członka personelu.

- Może pani zostać? - Sam spytał Lii. - Możemy potrzebować pomocy.

Lia zerknęła na Jacka, który odwoził nosze.

- Nie ma sprawy - odparł. - Wracam do śmigłowca, żeby go zabezpieczyć. Na razie nigdzie nie polecimy. Mamy szczęście, że udało nam się wrócić. - Posłał Samowi uśmiech. - To była szalona jazda - dodał. - Nie znam nikogo, kto zniósł to tak dobrze jak Lia.

Sam przeżył kilka niespokojnych lotów. Wiedział, jak trudno w tych warunkach opiekować się pacjentem. Nic dziwnego, że w głosie Jacka słyszał podziw. Nie powinno go to irytować.

Może po prostu był zły i zdenerwowany tym, że ktoś skrzywdził Sefinę. Musi chronić pacjentkę. Chciał też chronić Lię przed Jackiem. Więcej niż jedna kobieta wypłakiwała się na jego ramieniu, gdyż naiwnie wierzyła, że to właśnie ona przekona Jacka do porzucenia stanu kawalerskiego.

Myśl, że Lia miałaby płakać na jego ramieniu, przez moment nawet mu się spodobała. Ale była też idiotyczna, więc potrzęsnał głową i zaczął badać pacjentkę.

Lia sama potrafi się o siebie troszczyć. Pewnie gdyby związała się z Jackiem, i z tym by sobie poradziła, tym razem to raczej pilot wypłakiwałby się na jego ramieniu. Sam lekko unióś kąciki warg, lecz skupiony na pacjentce szybko przestał się uśmiechać.

- Podłączmy jeszcze jedną kroplówkę i podajmy więcej płynów. Sprawdźcie grupę krwi i zróbcie próbę krzyżową na wypadek transfuzji. Sefina? Otwórz oczy, kochanie. Wiesz, gdzie jesteś?

Sefina jęknęła, ale nie podniosła powiek. Przez moment była na tyle przytomna, by się przestraszyć. To był bolesny widok.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Jesteś w szpitalu, kochanie. Zaopiekujemy się tobą.

Sefina obróciła głowę w jedną, a potem drugą stronę.

- Joni, gdzie Joni? - Usiłowała usiąść.

Jedna z elektrod monitorujących rytm serca odpadła i odezwał się alarm. Lia przytwierdziła elektrodę z powrotem. Jej twarz znalazła się blisko twarzy młodej kobiety, wzięła ją za rękę.

- Nic mu nie jest, Sefino. Zaopiekowaliśmy się nim.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu. Jestem Lia, pamiętasz? Przyleciałam po ciebie do przychodni. Przywieźliśmy cię tu, bo jesteś chora, ale teraz jesteś już bezpieczna. Joni też jest bez-

pieczny.

Mówiła spokojnie, nawet Sam poczuł, że napięcie opada. I ten jej uśmiech!

Po policzkach Sefiny płynęły łzy, skinęła głową.

- To boli - szepnęła. - Brzuch mnie boli.

- Wiem. Zaraz sprawdzimy dlaczego, a potem to naprawimy, dobrze?

Sam spojrział na Lię. Miał nadzieję, że zobaczyła w jego oczach wdzięczność. Potem popatrzył w oczy Sefiny. Dziewczyna wciąż ścisnęła dłoń Lii, nie była już tak przerażona.

- Jestem Sam - powiedział cicho. - Jestem jednym z tutejszych lekarzy. Mogę obejrzeć twój brzuch?

Dziewczyna najpierw spojrzała na Lię, jakby szukała u niej rady, a później skinęła głową. Wciąż jednak trzymała Lię za rękę, gdy było to możliwe podczas rozmaitych badań i testów, które miały im powiedzieć, jak poważne są jej urazy. Ponad godzinę później mieli już wyniki.

- Nie ma krwawienia wewnątrzczaszkowego. To dobrze.

- Ale ma wstrząśnienie mózgu. Nadal wymiotuje i jest bardzo senna. - Anahera obejrzała się przez ramię na śpiącą Sefinę, która właśnie dostała krew, by uzupełnić to, co traciła na skutek wewnętrznego krwotoku. - Muszę zaszyć ranę na głowie. Chyba że ty chcesz to zrobić?

- Zrobmy to na bloku. - Sam spojrział na Lię. - Pani wstępna diagnoza była w dieśiątkę. Wciąż krwawi pęknięta śledziona. Musimy się tym zająć.

- Możemy to tutaj zrobić?

- Nie mamy wyjścia. W tę pogodę i tak nigdzie jej nie przewieziemy. Rano nie mogliśmy odesłać chorego z zatrzymaną akcją serca. Zapowiada się na to, że zatrzymamy go tu kilka dni. Tak czy owak, mieliśmy szczęście, że udało wam się z Jackiem dowieźć ją tu tak szybko. Podróż łodzią mogłaby pogorszyć jej stan.

- Mogę w czymś pomóc?

- Proszę zobaczyć, co z chłopcem. Potrzebuję Hettie na bloku. Wie pani, gdzie jest kuchnia?

- Znajdę ich.

Kiedy Lia minęła drzwi, Sam zobaczył, że wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła telefon. Czyżby wibrował, kiedy pomagała mu przy pacjentce?

A on chciał ją chronić przed Jackiem!

- Proszę się pospieszyć! - zawołał. - Byłoby lepiej, gdyby później zajęła się pani swoim życiem uczuciowym.

Życiem uczuciowym?

Pielęgniarka skierowała Lię do kuchni, a Lia przyspieszyła kroku. Okna zostały osłonięte przed wiatrem, żaluzje stuknęły z niepokojącą gwałtownością. Jeszcze nie padało, ale deszcz był już blisko.

Hettie karmiła Joniego lodami. Gdy Lia przekazała jej wiadomość, że jest potrzebna na bloku, Hettie natychmiast wstała. Pochyliła się i pocałowała chłopca, żegnając się też ze starszą kobietą, która pracowała przy blacie.

Lia uśmiechnęła się do niej.

- Witam, jestem Lia.

- Wiem. - Kobieta uśmiechała się przyjaźnie. - Jestem Vailea. Odpowiadam tu za kuchnię. Napije się pani herbaty?

- Byłoby miło, jeśli ma pani czas.

- Jak pani widzi, mam mnóstwo pomocników. - Machnęła ręką w stronę kilku młodych kobiet w białych fartuchach i czepkach. - Moana? Zabierz Joniego na oddział. Poproś którąś z pielęgniarek, żeby znalazła pieluchę i pomogła ci go przebrać. I spytaj, czy mają wolne łóżko. Chyba powinien już spać.

Herbata była mocna i słodka, taka, jaką lubiła Lia. Vailea usiadła z nią przy dużym stole.

- Sefina zostanie w szpitalu kilka dni. Wie pani, co się stanie z Jonim? Zatrzymają go tu z mamą?

- Pewnie tak. Porozmawiam z córką, jak będzie wolna. Poznała pani Anaherę?

- Tak. To pani córka?

Vailea przytaknęła.

- Ona też ma córkę. Hanę. Trochę starszą od Joniego, ale przywykłyśmy do opieki nad takimi maluchami. Może się zdarzyć, że zabiorę go do siebie. Biedne maleństwo.

Lia powoli popijała herbatę. Ciekawość, jaką wzbudziła w niej jej pierwsza na wyspie pacjentka, była dość silna, by przekroczyć pewne granice. Vailea wyraźnie wiedziała dość, by współczuć Joniemu.

Lia przygryzła wargę, a potem podniosła wzrok.

- Jack wspomniał, że mąż Sefiny nie jest ojcem chłopca. - Vailea spojrzała na nią dość surowo. - Mam przeczucie, że ona może potrzebować pomocy. To znaczy, że trzeba będzie kogoś wezwać.

Vailea cmoknęła.

- Ten drań Louis jej to zrobił? - Ze smutkiem pokręciła głową. - To się nie mogło udać.

- Co?

- Ten układ.

Lia milczała zakłopotana. Vailea westchnęła.

- Joni jest synem Iana Lockharta. Jego rodzina to właściciele Wildfire i kopalni złota. To głównie dobrzy ludzie. Max Lockhart należy do tych, którym zawdzięczamy szpital. Jego córka Caroline to jedna z naszych najlepszych pielęgniarek. Ale Ian... cóż, w wielu rodzinach zdarza się czarna owca, prawda?

Lia kiwnęła głową. Wyglądało na to, że na tej wyspie rodzina Lockhartów jest niczym rodzina królewska i posiada władzę, którą ktoś pozbawiony skrupułów mógł niecznie wykorzystać.

- Wszyscy znają tę historię, więc i pani może ją poznać - ciągnęła Vailea. - Nikogo nie zdziwiło, że Ian zrobił Sefinie dziecko. Zaskoczyło nas, że przywiózł ją tu z Fidzi, kiedy rodzina ją wyrzuciła. Oczywiście nie zamierzał jej poślubić. Wynajął Louisa, żeby to zrobił, bo wszyscy wiedzieli, że Louis jest leniwy i zgodzi się na wszystko dla pieniędzy.

- Zapłacił Louisowi, żeby się z nią ożenił?

- Nie tylko za to. Wciąż mu płacił. Co miesiąc. Tyle że...

Lia uniosła brwi.

- Jakiś czas temu pieniądze się skończyły. Ian zniknął. Nikt nie wie, gdzie jest. Kopalnia podupała, w końcu zdarzyło się tąpnięcie, które zabiło ludzi. Nie ma pieniędzy nawet na takie rzeczy jak sprej na komary, ludzie chorowali i umierali na zapalenie mózgu. - Potrząsnęła głową. - Wszyscy nienawidzą Iana, więc nie chcą mieć do czynienia z tym biednym chłopcem. Ani z jego matką. A Louis... cóż, można go chyba nazwać czarną owcą tej wioski. - Vailea skrzywiła się. - Ale jeżeli on ją skrzywdził, trzeba coś zrobić.

Lia kiwnęła głową.

- Tak właśnie powiedziałam Samowi. Sądzę, że zadzwoni na policję, kiedy skończą operację. Może już to zrobił. Macie tu policję, prawda?

- Oczywiście.

O Boże... Chyba jej nie uraziła.

- Przepraszam, jestem tu nowa. To znaczy, jeśli macie policję, macie też sąd i więzienie, prawda?

- Na Atangi jest więzienie, ale poważnych przestępców wysyła się do Australii. - Vailea sięgnęła po pustą filiżankę Lii i wstała z uśmiechem. - Szybko się pani wszystkiego dowie. I mam nadzieję, że pani wróci. Wygląda na to, że dzisiaj święnie się pani spisała.

No, no. Wieści szybko się tam rozchodzą, ale w małej społeczności można się tego spodziewać. Zaskoczeniem było dla Lii, że matka z małym dzieckiem mogą być pozbawieni jakiegokolwiek wsparcia.

- Lepiej zabiorę się do roboty - rzekła Vailea. - I sprawdzę, co z Jonim.

- A ja... - Lia zawahała się. Co ma robić, kiedy pogoda nie pozwala latać? Czy ma czekać w pokoju służbowym na wypadek, gdyby przyszło wezwanie i musiała płynąć na ratunek łodzi? - Lepiej poszukam Jacka.

- Pewnie jest w służbowym. Zwykle tam przesiaduje.

Żaluzje wciąż stuknęły, kiedy Lia wracała, ale już nie tak niepokojąco - było to raczej radosne postukiwanie.

Lia lubiła burze. Dzikie i nieprzewidywalne, podniecające. Miała za sobą pierwszą akcję ratunkową, udaną mimo złych warunków pogodowych. Sefina z tego wyjdzie. Może zamkna jej męża za kratkami, a ona będzie już bezpieczna. Może rodzina Sefiny zmieni zdanie i zabiorą ją do domu.

Przez kilka kolejnych dni Joni będzie miał dobrą opiekę. Vailea, Anahera, a zwłaszcza Hettie już tego dopilnują.

Poza tym Lia dostała wiadomość, że operacja Nica poszła dobrze i mogła się pozbyć poczucia winy, że mu nie towarzyszyła.

Tak, to dobry początek. Tylko jedno mogło jej zrobić jeszcze większą przyjemność - wyjście na chwilę na ten wiatr. Najlepiej na plażę, by poczuła słoną wodę na policzkach. Pozwoli wiatrowi zmierzwić włosy i wysmagać ciało, wtedy poczuje, że żyje, rozłoży szeroko ramiona i zaśmieje się w głos z radości.

Jeśli Jack powie, że to możliwe, tak właśnie robi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czy ona kompletnie zwariowała?

Stała na plaży, gdzie wysokie fale rozbijały się o koralowe rafy, a potem pędziły ku niej w morzu piany, pewnie była już mokra od słonych kropli. Drzewa rosnące na granicy plaży pochylały się jakby z bólu. Mimo odległości Sam słyszał trzask gałęzi, które lada chwila odpadną od pnia.

A ona stała w samym środku tego chaosu.

Nie, nie stała. Rozłożyła szeroko ręce jak dziecko, które udaje samolot, i powoli się okręcała. Twarz miała uniesioną, oczy zamknięte i... tak... śmiała się, choć w tym ryczącym wietrze nie słyszał śmiechu.

Potem wyjątkowo silny powiew przewrócił ją i wylądowała na piasku. Kiedy Sam do niej dotarł, z trudem usiłowała się podnieść. Wydawało się, że z radością przyjmuje jego pomocną dłoń.

- Czy to nie wspaniałe? - zawołała. - Uwielbiam to.

- Jest pani szalona - stwierdził. - Zdaje sobie pani sprawę, że wśród tych drzew są palmy kokosowe, a gdyby kokos spadł pani na głowę, byłoby po pani?

- Drzewa są daleko ode mnie.

- Gałęzie mogą polecieć z wiatrem. A pani musi tamtędy wracać do domu.

Jej policzki były zaczerwienione od wiatru połączonego z kropelkami morskiej wody. Misterny warkocz nie wyglądał już tak schludnie jak na początku dnia, ale jej oczy błyszczały radością.

- Pan też to lubi. Niech pan przyzna. Dlatego przyszedł pan na plażę.

- Przyszedłem po panią, wariatko. Nie mogłem uwierzyć, kiedy Jack mi powiedział, że wyszła pani w taką pogodę.

Teraz Sam też się uśmiechał. Ona jest szalona. Niegrzeczne dziecko w ciele dorosłej kobiety. Kropelki morskiej wody spryskały jej bluzkę, a wiatr przykleił ją do ciała. O tak, to ciało dorosłej kobiety.

- Powiedział, że sama za siebie odpowiadam. I że do mnie zadzwoni, gdybym była potrzebna.

Wciąż musieli przekrzykiwać wiatr.

- Myśli pani, że usłyszałyby pani telefon?

- Wibruje. Poczulałbym. - Lia położyła rękę na kieszeni na piersi, a Sam dojrzał prostokątny kształt komórki.

Jakim cudem jej nie zauważył, kiedy patrzył, jak bluzka oblepia jej ciało? Ponieważ był zaślepiony jej urodą, co nie było w jego stylu. Za to przypomniał sobie o jej nieprofesjonalnym zachowaniu związanym z telefonem i odzyskał rozum.

- Powinienem być wiedzieć, że ma go pani. Nie chciałyby pani przegapić kolejnej wiadomości od chłopaka.

- Co? - Radosny blask w jej oczach przygasł. - Skąd pewność, że mam chłopaka? I odkąd to pana interes?

- Od chwili, kiedy to zaczęło kolidować z pracą. - Przekrzykiwanie wiatru sprawiało mu satysfakcję, pozbył się towarzyszącej mu cały dzień irytacji. - Ilekroć panią dziś widziałem, zajmowała się pani telefonem.

- I zakłada pan, że pozwoliłabym, żeby moje życie osobiste przeszkadzało mi w wykonywaniu pracy? - Lia odwróciła się i zrobiła krok do tyłu. Potem jednak znów się odwróciła, omal nie potykając się, gdy silniej powiało. - Okej... przyznaję, zbyt wiele czasu spędziłam przy telefonie. Mój młodszy brat miał rano operację. Ma raka jąder, chciałam wiedzieć, że wszystko się udało.

Czy po jej policzkach spływały łzy?

- Powinnam z nim być. Fatalnie się czułam, że dałam mu się przekonać do przyjazdu tu z powodu...

Pieniędzy. Po tym przypomnieniu powinien natychmiast przestać interesować się tą kobietą.

A jednak jakiś cichy głos w głowie mówił, że przynajmniej była gotowa te pieniądze zarobić, a nie zdobyć je, udając zakochaną i wychodząc za męża.

Ta kobieta pracuje i jest w tym naprawdę dobra. A teraz płacze, bo nie towarzyszyła bratu w trudnych chwilach. To świadczy o jej lojalności wobec tych, których kocha.

Wiało z taką siłą, że Lia zrobiła krok w stronę Sama, tracąc przy tym równowagę i wpadając na niego. Czy mógł zrobić coś innego, niż wziąć ją w ramiona?

- Przepraszam! - krzyknął. - Trzeba było mi powiedzieć. O bracie.

- Ja też przepraszam. Wiem, że nie powinnam pisać esemesów w pracy.

- Ale to pani nie przeszkodziło. Świetnie dała sobie pani radę.

Podniosła na niego wzrok.

- Czy Sefina dobrze się czuje? Jak poszła operacja?

- Usunęliśmy śledzionę, krwawienie ustało. Przez kilka dni będzie dochodzić do siebie po zabiegu i wstrząśnieniu mózgu, ale będzie dobrze.

- Powiedziała, jak do tego doszło?

- Nie. Ale zamieniłem słowo z Ky'em, szefem policji. Zajął się tym. Postaram się zapewnić jej bezpieczeństwo.

Lia kiwała głową. Czy była świadoma, że wciąż ją obejmował?

- Jestem przekonany, że pani brat też dojdzie do siebie. Procent wyzdrowień w przypadku raka jądra jest wysoki.

- Wiem...

Nadal na niego patrzyła, przez zmarszczki zatroskania przebił się uśmiech. Pełen ulgi uśmiech, w którym była skrucha z powodu jej zachowania i akceptacja jego przeprosin. To właśnie ten uśmiech go rozbroił, poza jej ogromnymi oczami. Poza jej ciałem w jego ramionach.

Miał chęć złamać swoją żelazną zasadę. Pokusa była zbyt silna, ale przynajmniej się zawahał, by pokazać, że Lia może go powstrzymać. Z pewnością potrafi się uchylić od niechcianego pocałunku.

Może pozwoliła na to z powodu ulgi, że Nico spokojnie przeżył operację. Pozbyła się wyrzutów sumienia, które nękałyby ją do końca życia, gdyby coś poszło nie tak.

A może to wpływ zaczynającej się dramatycznej burzy i dreszcz emocji wywołany

potencjalnym zagrożeniem.

A może – jeśli miała być całkiem szczerą – to dlatego, że tkwiła w objęciach mężczyzny, który jej się podobał bardziej niż jakikolwiek inny. Nieważne, czy chodziło o jeden z tych powodów, czy wszystkie naraz. Nie zamierzała niczego powstrzymać ani analizować tego, co się działo.

Sam Taylor chciał ją pocałować, a nigdy aż tak nie pragnęła być całowana. Ścisnął ją mocniej, chronił ją przed porywami wiatru, który w każdej chwili mógł ją znów przewrócić. Czuła słony smak morskiej wody na jego wargach. Czuła bicie jego serca przez ubranie przyklejone do ciała. Przez ułamek sekundy nie istniało nic innego.

Potem coś uległo zmianie. Coś potężnego urwało się z uwięzi i rosło w siłę bardziej niż rozwścieczone morze za ich plecami i ryk wiatru. To było pożądanie, jakiego Lia nigdy dotąd nie doświadczyła.

Ciepło pocałunku rozpałiło jej ciało, była przekonana, że nigdy już nie poczuje zimna. Dotyk języka Sama kazał jej westchnąć z rozkoszy. Co prawda nikt tego nie usłyszał, bo dźwięk zniknął w ustach Sama, ale może Sam go poczuł, bo nagle się cofnął.

– Nie tutaj – rzekł.

Jej pierwsza reakcja była bliska lęku. Już nie chce jej całować? Dotykać? Rozczarowanie było ogromne.

– Gdzie?

Naprawdę powiedziała to czy miała wypisane na twarzy?

– Chodź ze mną.

Wziął ją za rękę, ale to nie wystarczyło, bo wiatr ją popychał to do przodu, to znów do tyłu. Gdy próbowała przejść ponad wyrzuconym przez morze konarem, Sam objął ją w pasie i trzymał mocno przy sobie. Wyjątkowo wysoka fala zaczęła się wznosić, a potem opadła spieniona, spryskując ich wodą. Byli do cna przemoczeni. Mimo to oboje się śmiali. Razem walczyli z żywiołem i kochali te emocje, połączone z całkiem innym podnieceniem.

W końcu opuścili plażę, dalej od brzegu wiatr był odrobinę słabszy. Ruszyli ścieżką, którą Lia przyszła na plażę ze szpitala. Dzięki Samowi trzymała się na nogach, ale on szedł szybko. Słyszała trzask łamanych gałęzi i głuchy odgłos większych przedmiotów, które gdzieś w pobliżu uderzały o ziemię. Brakowało jej tchu, nie była w stanie nic powiedzieć, gdyż musiałyby krzyczeć i... nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć.

Gdzie Sam ją zabiera?

Do szpitala? To byłoby rozsądne, zważywszy na kolor nieba, które pociemniało, spadły też pierwsze krople deszczu. Ale w szpitalu jest mnóstwo ludzi, do niczego więcej między nimi by nie doszło. A może prowadzi ją do jej mieszkania? Tam też nie ma prywatności, ściany między jej pokojem a pokojami innych członków personelu są cienkie, więc zakończenie było równie przewidywalne.

Nie chciała tego.

Choć teraz miała czas na rozważenie, czy to dobry pomysł, czuła to samo co w chwili, gdy Sam przerwał pocałunek. Pragnęła tego. Pragnęła Sama.

– Mój dom – krzyczał Sam – jest na końcu!

To był niewielki budynek podobny do tych, które znajdowały się bliżej szpitala,

gdzie mieszkał stały i tymczasowy personel, ale przynajmniej stał osobno i był osłonięty krzewami, które właśnie zrzucały duże liście i kwiaty w ofierze nasilającemu się wiatrowi. Sam musiał puścić rękę Lii, by otworzyć drzwi, zmagając się z siłą wiatru, a potem zamknął je z trzaskiem, gdy weszła do środka. Oboje byli bez tchu i dość długo łapali oddech, patrząc sobie w oczy.

To była ta chwila. Albo oboje przyznają, że to jednak nie jest dobry pomysł, że może zrodzić problemy z powodu wspólnej pracy, że ledwie się znają i oboje są dość dorośli, by dawno wyrosnąć z takich erotycznych przygód.

Ale czymkolwiek było to coś, co wymknęło się ich kontroli, nie mogli zaprzeczyć, że nabierało mocy. Lia wiedziała, że nie ma szansy, by się temu oprzeć. Widziała, że Sam zrozumiał to samo. Usłyszała dźwięk, który był jednocześnie przyznaniem się do porażki i wyrazem pożądania, które było echem jej emocji.

Zaraz potem znalazła się znów w ramionach Sama, poczuła jego wargi na ustach. Nic więcej się nie liczyło. Stała oparta plecami o drzwi, czując, jak Sam ściąga z niej ubranie. Musiała mieć zimną skórę, bo dotyk dłoni Sama był nienaturalnie gorący, zaś jego łóżko niewyobrażalnie miękkie.

Seks nigdy nie smakował tak dobrze. Wszystko, co dotyczyło Lii, było nadzwyczajne. Długie szczupłe nogi i jędrne piersi. Burza niesfornych loków, bo warkocz nie wiadomo kiedy rozplótł się, więc Sam owijał kosmyki wokół ręki i trzymał jej głowę w najlepszej pozycji do pocałunku.

Najbardziej niezwykle było to, jak reagowała na każdy jego dotyk. Starał się zwolnić, by trwało to tak długo, jak to tylko możliwe. Ta chemia była zbyt silna, by ją okiełznać. Z deszczem, który walił o metalowy dach jego domu i stukotem drewnianych okiennic w tle wydawało się, jakby namiętność, która ich połączyła, stanowiła część sił natury. Wydawało się też, że zbyt szybko się skończy.

O wiele za szybko.

Kiedy leżeli przytuleni, Sam nie był pewien, gdzie kończy się jego ciało, a gdzie zaczyna ciało Lii. Był za to pewien, że to nie był jeden jedyny raz. Mają przed sobą dwa tygodnie, a jeśli Lii to zbliżenie przyniosło tyle satysfakcji, ile jemu, niewątpliwie z równą chęcią wykorzysta ten czas. Przynajmniej wszystkie noce. Uśmiechnął się, unosząc głowę, by widzieć twarz Lii.

- No, no.

Brakowało mu słów, ale to się nie liczyło, bo Lia też się uśmiechała.

- Lepiej bym tego nie powiedziała.

Jej słowa były niemal niesłyszalne z powodu deszczu, który zamienił się w ulewę. Lia szeroko otworzyła oczy.

- Najgorsze niedługo minie. Może do jutra rana, przy odrobinie szczęścia.

- A jeśli ktoś będzie potrzebował pomocy, jak dostanie się do szpitala?

- Nie dostanie się, dopóki nie będzie można wylecieć z Wildfire. Ty i Jack nigdzie teraz nie polecicie, nie sądzę też, żeby łódź dała radę w tych warunkach. Musimy przeczekać, aż zmieni się pogoda. Wtedy nie zabraknie pracy. Sprawdzenie sąsiednich wysp może zająć kilka dni.

Dał się słyszeć dźwięk tłuczonego szkła, a także jakiś trzask. Sam wyczuł nagle napięcie w ciele Lii.

- Jesteś bezpieczna - zapewnił ją. - Ze mną jesteś bezpieczna.

Dobry Boże, skąd mu to przyszło do głowy? Nie chodziło tylko o słowa, które wydawały się banalne, lecz nagłe przekonanie, że najważniejszą rzeczą na świecie jest dotrzymanie tej obietnicy.

Nie miał tego w planie. Niczego z tego, co się wydarzyło, nie miał w planie. Odsunął się od Lii.

- Lepiej sprawdzę, co się stało. Może powinniśmy wrócić do szpitala i zobaczyć, czy tam wszystko w porządku.

Zapewne powinien był tam zostać. O czym myślał? To zrozumiałe, że poszedł za Lią, usłyszawszy, iż okazała się dość głupia, by pójść na plażę, kiedy uderzył cyklon. Ale żeby w takim czasie ukrywał się z nią w domu i kochał?

Nikt nie spodziewałby się po nim takiego zachowania. On sam nie mógł w to uwierzyć. Po ciężkim dniu i pilnej operacji należał mu się odpoczynek, ale pacjenci mogą go potrzebować, choćby Sefina. Koledzy muszą wiedzieć, że zawsze mogą na niego liczyć. Zwłaszcza w potencjalnie groźnej sytuacji, jaką jest cyklon.

Spuścił nogi na podłogę.

- Znajdę ci coś suchego do ubrania.

- Daleko stąd do szpitala?

- Jeśli pobiegniemy, jakieś dwie minuty.

- W takim razie nie przejmowałabym się ubraniami. Jak dotrzemy na miejsce, znów będę mokra.

Ucieszył się, że chce z nim pójść. To profesjonalne. Nie zmieniają tego, co się między nimi wydarzyło, ale mogą odsunąć to na bok i wrócić do tego, co było wcześniej. Znów być dwojgiem pracujących razem ludzi, skupionych na pacjentach, nie na sobie. Mając wokół siebie innych, łatwiej pokonają tę niepokojącą namiętność.

- Więc było warto?

- Słucham? - Lia miała świadomość, że wyglądała jak zmokła kura, stojąc w przemoczonym ubraniu z rozpuszczonymi włosami, z których woda spływała jej na plecy. Nic dziwnego, że wszyscy w pokoju służbowym gapili się na nią, ale czemu Jack szczyrzył zęby w uśmiechu, jakby wiedział, co się stało?

Nie miała odwagi odwrócić się i spojrzeć na Sama.

- Warto było tak zmoknąć, żeby zobaczyć, jak wygląda cyklon?

- Och... - Może wszyscy sądzili, że Sam tylko poszedł po nią na plażę i przyprowadził ją z powrotem. Uśmiechnęła się szeroko. - Tak. Było warto. To było... wspaniałe.

- To było głupie i tyle - burknął Sam za jej plecami. - Zaraz poszukam suchego fartucha. Co tam, Jack? - Wskazał na radio na biurku, przy którym siedział pilot. - Co się dzieje?

Anahera gestem spytała Lię, czy napije się czegoś gorącego. Lia pokręciła głową. Potem uśmiechnęła się do Hettie, która siedziała obok Anahery, trzymając na rękach sennego chłopca. Widząc Joniego, Lia chciała zapytać o stan jego matki, ale nie razie nie mogła przerywać Jackowi.

- Północny koniec Atangi oberwał najgorzej. Nie ma zasięgu, ale przez chwilę mieliśmy kontakt radiowy. Ky zorganizował w szkole centrum dla poszkodowanych,

wiele rodzin się tam schroniło. Nic nie wiemy o pozostałych wyspach.

- Na morzu są jakieś łodzie ?

- Mam nadzieję, że nie. Każdy, kto ma trochę rozumu, dawno zawróciłby do portu. Widziałem dwie łodzie płynące do portu, kiedy lecieliśmy wcześniej z Atangi. Chcesz, żebym sprawdził, jak się ma twoje maleństwo?

Jego maleństwo? Tym razem Lia musiała się odwrócić - a był to szybki nerwowy ruch. Sam ma dziecko? Czy właśnie kochała się z mężczyzną, który ma dziecko, a więc przypuszczalnie także dziewczynę, jeśli nie żonę?

Jack ujrzał jej minę i zaśmiał się.

- Mówię o jego jachcie. „Pieśń fali”. Miłość jego życia. Stoi tu w porcie.

Twarz Sama niczego nie zdradzała.

- Jeżeli nie jest odpowiednio zabezpieczony, za późno się tym martwić. Więc nie ma żadnych raportów o wypadkach?

- Na razie nie.

Sam zatrzymał spojrzenie na Hettie.

- Czy ktoś zagląda do Sefiny?

- Jest u niej Keanu, potem zajrzę do niej na chwilę z Jonim. Czuje się nie najgorzej. Jest trochę obolała, ale dość przytomna.

- A co z Keonim, naszym pacjentem kardiologicznym? - Czoło Sama przecięła zmarszczka, w myśli przebiegał listę pacjentów. - Nieważne. Sam sprawdzę. Muszę się tylko przebrać w coś suchego. - W końcu zerknął na Lię. - Przyniosę też coś dla ciebie, dobrze? Jaki rozmiar nosisz? - Jego spojrzenie ani język ciała nie zdradzały, że miał szansę poznać jej wymiary. I kształty. Dobry Boże...

Zamiast się cieszyć, że dzięki twarzy pokerzysty, jaką udało się zachować Samowi, nikt nie odgadnie, jak dobrze się poznali, Lia uznała to za afront. Jakby ta nadzwyczajna bliskość była pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia. Jakby już została zapomniana.

- Ja to zrobię. - Anahera podniosła się z krzesła. - Chodź ze mną, Lia. Dam ci też ręcznik, żebyś wysuszyła włosy. Wyglądasz, jakbyś pływała. Nie jest ci zimno?

- Trochę. - Gęsia skórka, którą Lia widziała na ramionach, nie miała wiele wspólnego z temperaturą jej ciała. Była reakcją na zachowanie Sama.

Łatwo było się zorientować, że Jack miał ochotę na przelotny romans. Czyżby źle odczytała sygnały i nie zrozumiała, że Sam równie ochoczo korzystał z okazji?

- W przebieralni jest kilka kombinezonów w różnych rozmiarach - rzekł Jack. - I wodoodporna bielizna. Pewnie chciałabyś być przygotowana na ewentualne wezwanie.

Radio na biurku zaskrzeczało, jakby czekało na właściwy moment. Jack przesunął słuchawki na uszy i pochylił się, naciskając przycisk mikrofonu.

- Baza ratunkowa Wildfire. Odbiór.

Wiadomość z trudem przebijała się przez trzaski.

Do pokoju weszły nowe osoby.

- Mamusiu... Wieje...

Tuż za dzieckiem szła Vailea w pelerynie przeciwdeszczowej. Zdjęła z głowy kaptur.

- Część mieszkańców boi się zostać w domach. Przeprowadziłam ich tutaj, zosta-

wiłam w poczekalni. Jeden z mężczyzn zranił sobie rękę, kiedy próbował zabezpieczyć łódź. Trzeba go opatrzyć.

- Ja to zrobię. - Hettie wstała. - Zajmiesz się Jonim i Haną?

- Nie. - Dziewczynka pokręciła głową. - Chcę zostać z mamusią.

- Nie możesz, kochanie. - Anahera pocałowała córkę w czoło. - Mamusia musi pracować, bo ludzie potrzebują pomocy. Bądź grzeczna i zostań z babcią.

- Ale...

- Zobacz, Lia jest cała mokra. Muszę znaleźć dla niej ubranie.

- Ja też jestem mokra...

- Tylko trochę. Masz na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. - Anahera cofnęła się, kiedy Hettie podała Joniego Vailei. - Pewnie trzeba zanieść trochę ręczników do poczekalni. Na pewno wszyscy przemokli.

Vailea spojrzała na Lię.

- A pani przemokła do nitki. Co pani robiła, na Boga?

Ale Lia patrzyła teraz na Jacka. Sądząc z jego miny, usłyszał coś, co miał zamiar omówić z Samem. Skupiając się na mężczyznach, odsunęła od siebie głosy kobiet.

- Upadające drzewa spowodowały osuwisko. Skały i błoto. Cała rodzina została uwięziona w jednym z domów. Są też ranni. Potrzebują pomocy.

- Popłynę tam - odrzekł Sam z poważną miną. - I tak musimy zapewnić pomoc medyczną na Atangi. Poza Marnie w przychodni nikogo nie ma, a nawet kilka drobnych urazów to dla niej za dużo.

- Ja też popłynę - rzekła Lia. - Skąd wziąć sprzęt?

- Wyjąłem zestawy ze śmigłowca. Są w przebieralni, tam gdzie kombinezony.

Sam pokręcił głową.

- To niebezpieczne - stwierdził. - Teraz można się tam dostać tylko łodzią, a ja nie narażę nikogo na takie zagrożenie.

Lia spotkała się z nim wzrokiem.

- Ale ty popłyniesz.

- Wiem, co robię. I to moja łódź. - Na jego twarzy widniało coś więcej niż świadomość trudnej sytuacji. Ten człowiek nie waha się ryzykować życiem dla innych.

Zasługiwał na szacunek, i właśnie zdobył ogromny szacunek Lii.

- On wie, co robi. - Jack kiwnął głową. - Sam ma w żyłach wodę morską zamiast krwi. Ja z nim popłynę. Nie musisz płynąć swoją łodzią. Zadzwoń do Ky'a, zobaczymy, czy uda się wezwać straż przybrzeżną, przyplłynęliby po ciebie. Ich łódź jest mocniejsza i zmieści więcej osób. Popłynę z tobą.

- Będziesz tu potrzebny. Chcę mieć kogoś, kto potrafi obsługiwać radio i koordynować akcje ratunkowe. Daj mi przenośny zestaw.

- I mnie. - Lia wyciągnęła rękę. Wiedziała, że jej mina mówi do Sama: „Nie próbuj mnie powstrzymywać”. - To moja praca - oznajmiła. - Może nie czytałeś mojego CV. Nie będę tu siedziała, wiedząc, że w zawałonym budynku jakaś rodzina oczekuje pomocy. Pewnie są tam też dzieci...

- Będzie ciężko - ostrzegł Sam. - Na pewno chcesz płynąć?

W jego oczach Lia dojrzała cień podziwu.

A nawet coś więcej niż podziw. Przeczucie, i jej nieobce, że razem świetnie poradzą sobie z trudną misją, że są też zdolni do czegoś więcej. Czegoś wyjątkowego -

jak pokonanie rozszalałego sztormu i uratowanie czyjegoś życia.

Może to nie był właściwy moment na uśmiech, ale nie mogła się powstrzymać. Sam nie odpowiedział jej tym samym, a jednak przysięgłaby, że za błyskiem w jego oczach krył się wewnętrzny uśmiech.

Z powagą skinął głową.

- Chodźmy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spodziewała się podniecenia związanego z nową przygodą, ale w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie podobnego scenariusza.

Zapadła noc. Znaleźli się na morzu w kleszczach cyklonu. W pomarańczowym kombinezonie i kamizelce ratunkowej Lia trzymała się siedzenia obiema rękami, by nie porwał jej wiatr, kiedy wysokie fale unosiły i zrzucały łódź po drugiej stronie rafy koralowej.

Przy sterze mocnej łodzi motorowej siedział nieumundurowany wyspiarz. Sam stał obok niego. Jakimś cudem obaj trzymali się na nogach, prowadząc łódź roz-wścieczonym akwenem między Wildfire i liczniej zasiedloną Atangi. W dobrych warunkach podróż zajmowała kwadrans, teraz zdawało się, że trwa wieczność, i choć Lia jakoś się trzymała, miała już tego serdecznie dosyć.

Sam odwrócił się i powiedział coś, co odczytała z jego warg jako: „Wszystko gra?”.

Na moment puściła się jedną ręką i pokazała mu uniesiony kciuk. Kiwnął głową i znów się odwrócił. Wskazywał na coś, pochylając głowę w stronę mężczyzny przy sterze, krzyczał coś, czego Lia nie rozumiała. Miała nadzieję, że pokazywał cel ich podróży. Przybicie do brzegu i zejście z łodzi nie zapowiadało się łatwo, ale Lia niecierpliwie czekała, by rozpocząć akcję ratunkową.

W ciężkim plecaku, który dostała od Jacka, miała niezbędny sprzęt. Sam miał plecak z identycznym wyposażeniem. Rozglądając się po dobrze wyposażonej łodzi, Lia zauważyła zwinięte liny, koce i narzędzia, a także specjalne nosze. Czy na miejscu osuwiska znajdą się ludzie, którzy pomogą je przenieść w razie czego? Czy mężczyźni z wioski usiłowali już odkopać tych, którzy znaleźli się w pułapce?

Na szczęście morze odrobinę się wyciszyło, gdy dopłynęli do rafy, która chroniła Atangi. Ulewa utrudniała widzenie, ale z tej strony wyspy wiatr był jakby słabszy, a na brzegu czekali ludzie, by im pomóc zabezpieczyć i rozładować łódź. Wciąż niebezpiecznie wysoka fala sprawiała, że było to nie lada wyzwanie. Lia podała Samowi medyczne zestawy ratunkowe. Sam rzucił je na pomost, gdzie chwycił je potężny mężczyzna w policyjnym mundurze.

- Zabieramy nosze? I liny?

- Dobry pomysł. Ky? - Sam przywołał policjanta. - Mamy tu ludzi, którzy pomogą coś przenieść?

- Jasne. Wszystko, co niezbędne, załadujemy do dżipa. Zawiozę was na drugą stronę. Piechotą trwałoby za długo.

Sam wyskoczył na pomost, a potem przykucnął i wyciągnął rękę do Lii.

- Zaczekaj, aż łódź zbliży się do brzegu i złap moją rękę. Będiesz musiała skoczyć.

Jego uścisk był pewny. Pociągnął ją dość mocno, więc z łatwością przeskoczyła na drewniany pomost. Nawet zbyt mocno, prawdę mówiąc, bo musiał chwycić ją za ra-

miona, by nie stracili równowagi.

Przez ułamek sekundy, gdy ich twarze znalazły się blisko, Sam spojrział jej w oczy, a ona poczuła... może energię? To nie miało nic wspólnego z seksem, choć było równie podniecające. Czekali ich zadanie o niewiadomej skali trudności. Mieli to robić razem. Wymiana spojrzeń była niczym przypieczętowanie umowy. Zrobią wszystko, co konieczne, a jednocześnie będą się nawzajem chronić.

Nie było czasu na żadne znaczące gesty. Załadowali sprzęt do dżipa i wsiedli do samochodu, po czym ruszyli wyboistą drogą prowadzącą z głównego miasta na wyspie, miejscami z niej zjeżdżając, by ominąć leżące drzewa. Wycieraczki nie radziły sobie z wodą, która zalewała szybę, a wichura kołysała pojazdem. Więcej niż raz Ky musiał się zatrzymać, gdy spotykali ludzi, którzy brnęli skrajem drogi.

Opuszczał wtedy szybę i krzyczał:

- Jest ktoś ranny? Mam tu lekarza!

Jeśli odpowiedź była negatywna, radzili wyspiarzom, by uważali na siebie i kierowali się do budynku szkoły. Gdy bardziej oddalili się od miasta, mówili napotkanym, by ukryli się w najbliższym budynku i trzymali z dala od fruwających na wietrze śmieci.

Jeśli zaś ktoś był ranny, Sam i Lia udzielali mu pomocy. Opatrywali rany, które musiały poczekać na zszycie, usztywniali złamane kończyny. Ci ludzie mogli poczekać. U celu ich misji pewnie znajdują się osoby, które wymagają natychmiastowej interwencji, być może ratującej życie.

Nikt nie spodziewał się jednak, że osuwisko okaże się tak duże. Nie dało się zjechać dżipem z drogi i go objechać. Potężne stare drzewa na zboczu zostały wyrwane z korzeniami, przemieszczając skały i doprowadzając do tragedii. Mieszanie kamieni, błota, pni i gałęzi trzeba było pokonać na piechotę.

Ky otrzymywał przez radio coraz więcej wiadomości. W miasteczku domy traciły dachy, zwisające blachy stanowiły zagrożenie dla tych, którzy wciąż pozostawali na zewnątrz. W szkole panował chaos. Nie wystarczyło przekazywanie poleceń drogą radiową, a wiadomości były coraz bardziej niepokojące.

- Muszę wracać - powiedział Ky do Sama i Lii, kiedy zatrzymał samochód z włączonymi reflektorami, które oświetlały osuwisko. - Wiem, że potrzebujecie pomocy, ale tu jest chyba tylko parę osób. A ja odpowiadam teraz za całą społeczność Atangi.

- Jedź - odrzekł Sam. - Zorientujemy się, z czym mamy do czynienia, i damy ci znać. Możesz nam odesłać dżipa, kiedy będziemy potrzebowali transportu?

- Wezwę wszystkie dostępne samochody, żeby przysły ludziom z pomocą. Jak najszybciej wyślę też coś do was.

Lia otworzyła drzwi samochodu.

- Co zrobimy z noszami?

- Na razie tu je zostawimy. - Sam otworzył drzwi od swojej strony. - Najpierw trzeba się dowiedzieć, co się stało. Mam nadzieję, że budynek nie jest przysypany, bo wtedy okaże się, że nic nie możemy zrobić.

Ky pomógł im wyładować sprzęt. Kiedy już chciał usiąść za kierownicą, podniósł wzrok, osłaniając oczy przed deszczem.

- Hej! - zawołał.

Lia i Sam także podnieśli wzrok. Po osuwisku gramolił się mężczyzna w krótkich spodniach i podartym T-shircie.

- Tutaj! - wołał, chwytając się wystającej gałęzi, kiedy się pośliznął. - Szybko! Moja żona, dzieci...

Lia ruszyła naprzód.

- Da się po tym iść - rzekła przez ramię do Sama. - Jemu udało się na bosaka, a my mamy buty. - Zapaliła latarkę na kasku. - Niech pan tam zostanie! - wołała do mężczyzny. - Już idziemy. Jak się pan nazywa?

- Afi.

- Jestem Lia. A to Sam. Okej, Afi, prowadź.

Sam z trudem dotrzymywał kroku Lii. Nawet z ciężkim plecakiem ruszała się ze zdumiewającą szybkością i wdziękiem. Nie był to jednak bezmyślny pośpiech. Idąc za ich przewodnikiem, sprawdzała gałęzie i skały pod nogami, by się przekonać, czy wytrzymają jej ciężar i w razie czego wybierała inną drogę. Nagle zawahała się.

- Są tutaj węże?

- Tu nie. Mamy małą paskudną żmiję na Wildfire, ale trzyma się bagien wokół laguny.

Lia zacisnęła palce na gałęzi, która mogłaby być ogonem węża, i podciągnęła się. Dotarcie na szczyt nie zajęło im wiele czasu, tam się zatrzymała i tym razem stanęła nieruchomo, oceniając zagrożenie i swoje zadanie. Po paru sekundach dołączył do niej Sam.

- A niech to...

Osuwisko zabrało jedną stronę budynku, spychając ją z fundamentów i przekręcając. Metalowy dach był odkształcony, połowa, z pogiętymi i popękkanymi blachami, została zasypana kamieniami, ostre krawędzie groźnie sterczały. Drewniana konstrukcja leżała jak przewrócone bierki. Czy zostało tam choć trochę miejsca, gdzie ktoś mógłby przeżyć?

- Słyszałem płacz dziecka - oznajmił Afi, prowadząc ich w dół z drugiej strony. - Ale nie mogę jej znaleźć...

- Był pan wewnątrz, kiedy to się stało?

- Byłem w sypialni, próbowałem naprawić okiennice. Pozostali byli na tyłach domu.

- Ile osób?

- Moja żona Hika. Nasze dzieci. Dwoje starszych i maleństwo.

A on słyszał tylko płacz najmłodszej córki? Sam z trudem przełknął.

- Są tu w pobliżu inne domy? Ludzie, którzy mogli zostać poszkodowani?

- Nie sprawdzałem. - Mężczyzna zaszlochał. - Tam jest moja rodzina. Musiałem zadzwonić po pomoc...

- Rozumiemy. - Lia ujęła dłonie mężczyzny. - Zrobimy wszystko, żeby pomóc. Jak pan się czuje? Nie jest pan ranny?

Afi potrząsnął głową.

- Ja nie jestem ważny. Nic mi nie jest.

- Jest pan ważny, Afi, chcemy, żeby pan coś dla nas zrobił.

- Zrobię wszystko - odparł. - Powiedzcie mi tylko...

- Musimy wiedzieć, czy są jacyś inni poszkodowani. Pan wie, gdzie tu stoją domy. Może pan to sprawdzić. A my tu zostaniemy i pomożemy pana rodzinie.

To było logiczne rozwiązanie, a jednocześnie trudno było oczekiwać, że Afi opuści miejsce, gdzie jego najbliżsi zostali uwięzieni. Lia prosiła go, by im zaufała. Czy zdobyła jego zaufanie delikatną perswazją? Przekonaniem, z jakim zapewniała, że są zdolni pomóc jego bliskim?

Wciąż trzymała go za rękę, patrząc mu w oczy, on zaś, ku zdumieniu Sama, skinął głową. Potem odwrócił się i zaczął oddalać się od swojego zniszczonego domu.

- Niech pan będzie ostrożny i wróci jak najszybciej! - zawołała za nim Lia.

Obejrzał się. Patrzył na Lię długą chwilę, jakby czerpał z niej siłę. Potem zniknął za zasłoną deszczu i drzew.

Lia i Sam bez słów wymienili spojrzenia i rozpoczęli poszukiwania. Ostrożnie wybierali drogę wokół domu. Zwisające żelazne blachy piszczały jak ranne zwierzęta. Kawał drewna - może fragment okiennicy - przeleciał obok nich, uderzając w kask Sama, który patrzył przez wodę zalewającą osłonę na oczy. Krzyknął głośno:

- Jest tam kto? Słyszycie mnie? Gdzie jesteście?

- Halo! - wołała Lia. - Słyszycie mnie? Hika?

W odległej części domu znaleźli otwór, który pozwalał zagłębić się w trójkątną przestrzeń, gdzie fragment dachu tworzył jedną ścianę, a złamana belka nośna podtrzymywała resztę. Lia przykucnęła. Sam spojrzał ponad jej ramieniem, oświetlając przestrzeń swoją latarką.

Był tam rodzaj tunelu prowadzącego zapewne do dawnego pokoju. Na samym końcu dostrzegli skulone dziecko. Słyszeli też jego płacz.

Kiedy Lia zsuwała z ramion plecak, Sam się cofnął.

- Wchodzę tam.

- Nie, jeszcze nie. Nie wiemy, czy jest bezpiecznie. To wszystko może spaść ci na głowę. Trzeba to czymś podeprzeć.

- Nie ma na to czasu. Nie mamy też ludzi ani sprzętu. - Uwolniona od plecaka Lia położyła się na brzuchu i wsunęła w szczelinę. - Nie śpisz, kochanie? - zawołała. - Możesz na mnie spojrzeć?

Dziecko na moment otworzyło oczy, ale jedno spojrzenie w światło latarki wystarczyło, by znów je zamknęło. Jeśli jakimś cudem nie zostało ranne, było zbyt przerażone, by z nimi współpracować.

- *Kia orana* - rzekł łagodnie Sam w miejscowym języku. - Jak ci na imię, kochanie?

Mała twarzączka pozostawała w ukryciu.

- Co powiedziałaś? - spytała Lia. - Czy dzieci tu nie znają angielskiego?

- Wszyscy są mniej czy bardziej dwujęzyczni. Niektórzy wolą mówić w swoim języku.

- Więc jak się mówi dzień dobry czy witaj?

- *Kia orana*. Ale ono cię zrozumie.

- Okej. - Lia skinęła głową i zaczęła posuwać się naprzód.

- Wyjdź - polecił Sam. - Ja tam wejdę.

- Jestem mniejsza - zaoponowała. - Wezmę dziecko, a potem sprawdzimy, czy dalej jest jakieś przejście.

Nie był w stanie jej powstrzymać, poza tym miała rację. Łatwiej jej było przemieszczać się wąskim korytarzem.

A tam są dzieci. Gdyby miał szansę je uratować, nikomu nie pozwoliłby się zatrzymać.

Lia była taka sama.

Kiedy wczołgała się dalej, przekonała się, że jest tam więcej miejsca. Wzrosła jej nadzieja, że znajdą kolejnych żywych członków rodziny Afięgo, choć nikogo jeszcze nie widziała. Gdyby dojrzała kogoś więcej, musiałaby najpierw sprawdzić stan pierwszej odnalezionej osoby, a potem ruszyć do kolejnych, by zdecydować, kto wymaga natychmiastowej interwencji.

Sam miał rację, łamała zasady i nie stawiała na pierwszym miejscu własnego bezpieczeństwa – ani bezpieczeństwa innych ratowników, ale te ruiny były dość niestabilne. Kto wie, ile czasu im pozostało na uratowanie wszystkich, którzy jeszcze żyli?

Dotarła do dziecka i zdjęła rękawiczki, by poczuć temperaturę ciała. Widziała unoszącą się i opadającą drobną klatkę piersiową, więc dziecko oddychało. Szybko przesunęła dłońmi po jego ciele, szukając ran czy krwawień.

– Cześć – odezwała się. – Wszystko dobrze, kochanie. Zaopiekuję się tobą. Wiesz, gdzie jest twoja mama?

– Mama... – Dziewczynka podniosła głowę i zalała się łzami. Małe rączki objęły Lię za szyję. – Mamusia...

Lia usłyszała jakiś dźwięk z boku. Czy to płacz kolejnego dziecka, czy jęk dorosłego?

Musi działać szybko, a nie mogła tego zrobić z wtulonym w nią dzieckiem. Przesunęła się do tyłu, jedną rękę trzymając na czuprynie dziewczynki, by chronić jej głowę przed ewentualnymi spadającymi śmieciami.

Sam już na nie czekał.

– Coś tam słyszałam – oznajmiła Lia. – Wracam. Dziewczynce chyba nic nie jest. W każdym razie nic nie widać.

Przekazała mu dziecko i cofnęła się do miejsca, gdzie je znalazła, zaglądała pod leżące na ziemi belki. Widziała stół o połamanych nogach i przewróconą kanapę i... tak, gołą stopę i łydkę dorosłej osoby, która leżała w miejscu, gdzie kanapa upadła na przewrócony stół.

– Hika? Słyszysz mnie?

W odpowiedzi rozległ się jęk. Potem słowa tak ciche, że musiała nadstawić uszu.

– Pomóż mi... Pomóż moim dzieciom...

– Już idę. Trzymaj się.

Ale jak dotrzeć do kanapy? Drogę blokował jej przekrzywiony dźwigar. Było dość miejsca, by przed nim uklęknąć, ale nie była w stanie usunąć ciężkiej beli drewna. A gdyby ją poruszyła, czy coś by na nią nie spadło?

Potrzebowała pomocy. Potrzebowała Sama.

– Jestem tu.

Dobry Boże, czy ona mówi do siebie na głos? I czemu Sam zaryzykował i wcisnął się w to wąskie przejście?

– Gdzie dziewczynka?

- Wrócił Afi. Przyprowadził sąsiadów. Nic im nie jest. Chcą pomóc.

- Widzę Hike. Myślę, że jest z nią dziecko, ale nie mogę się tam dostać. Może da się podejść z drugiej strony?

- Spróbuję przesunąć tę belkę. Wygląda na to, że ta sterta śmieci jest dość solidna, żeby ją podtrzymać.

- Gdybyś tylko trochę ją uniósł, precisnęłabym się.

Sam wsunął rękę pod belkę.

- Ale wtedy możesz utknąć po drugiej stronie - rzekł.

Rozum mówił jej, że to tylko profesjonalna troska, ale czuła obok siebie jego rękę i widziała jego twarz dość blisko, by przypomnieć sobie ich pocałunki. Myśl, że można być jednocześnie tak namiętnym i tak opiekuńczym, odebrała jej dech.

Zdradliwy powiew uniósł część dachu, który spadł z przerażających chrzęstem, wznosząc chmurę pyłu. Zdawało się, że cała niestabilna konstrukcja wokół nich przesunęła się, a potem osiadła. Teraz na twarzy Sama pokazało się coś więcej niż niepokój. Jeśli da mu powód, każe jej stamtąd wyjść. Zresztą może by go posłuchała.

Nawet sobie nie wyobrażała, co pomyślałaby jej rodzina, wiedząc, że się tak naraża. I co by przeżywali, gdyby stamtąd nie wyszła. Ale gdyby porzuciła akcję ratunkową, była pewna, że Sam nie poszedłby jej śladem.

- Na zewnątrz są ludzie gotowi do pomocy - powiedziała. - Jeśli tu utknę, zobaczycie, co da się ruszyć, żeby zrobić dostęp z drugiej strony. Hika jest ranna, a raczej nie da się tu wsunąć kosza ratunkowego. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej stąd wyjdziemy.

Przez długą chwilę, z wyjącem wiatrem i groźnie trzeszczącą konstrukcją budynku w tle, Sam patrzył jej w oczy. Potem uniósł kącik warg w uśmiechu.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Ty też. Do roboty. Pokaż mi, jaki jesteś silny.

Był dość silny, by unieść belkę. Nie dość, by ją wyżej zabezpieczyć, ale wystarczająco, by Lia mogła się pod nią przeczołgać. Po drugiej stronie było więcej miejsca. Lia mogła stanąć na nogi, pochylając plecy. Pod jej butami chrzęściło szkło i porcelana. Obeszła stół, by dostać się do miejsca za kanapą.

Hika trzymała w ramionach maleńkie dziecko. Chłopiec, na oko pięcioletni, leżał wtulony obok głowy matki, trzymając ją za rękę.

- Jestem Lia. Wydostanę was stąd.

- Weź najpierw dzieci - rzekła Hika. - Proszę... Gdzie Ema?

- Twoja córeczka? Jest już na zewnątrz, pod dobrą opieką. - Lia starała się przyrzec chłopcu i niemowlęciu jednocześnie. Hika była przytomna, rozmawiała z nią. To znaczy, że na razie nie ma kłopotów z oddychaniem.

Za to noga Hiki była ułożona pod nienaturalnym kątem. Ale najważniejsze jest wydostanie stąd dzieci.

- Jak ci na imię? - spytała chłopca.

Jego twarz zmarszczyła się, przywarł mocniej do matki.

- Rua - odrzekła za niego Hika i znów jęknęła. - Boli...

Rua zapłakał głośniej, a zaraz potem dołączyło do niego niemowlę. Głos Sama led-

wie się przebił przez ten hałas.

- Co się dzieje?

Lia wzięła dziecko od Hiki.

- Chodź ze mną, Rua. Sam pomoże ci wyjść na zewnątrz.

- Nieee.

- Zrób to - poleciła Hika. Szlochając, oderwała od siebie ręce chłopca i pchnęła go do Lii. - Zabierz go. - Jej oddech rwał się z bólu. Zamknęła oczy, jej głowa opadła.

- Hika?

Kobieta wciąż oddychała, ale brak odpowiedzi mówił Lii, że traci przytomność. Z dzieckiem w ramionach nic nie mogła zrobić. Trzymając je przy sobie, wolną ręką chwyciła za rękę chłopca i pociągnęła.

Opierał się, więc obejście stołu okazało się prawdziwą walką. Przekonanie go, by pokonał niewielki tunel, było jeszcze trudniejsze. Sam wyciągnął ręce, by go chwycić.

- Tata czeka na ciebie - wyjaśnił mu. - I twoja siostra. Jak jej na imię?

- Ema - odpowiedziała Lia.

Rua pokręcił głową.

- Chcę zostać z mamą! - zawodził.

- Lia zostanie z twoją mamą - odrzekł Sam. - Zaopiekuje się nią. Ty musisz pójść ze mną. - Przeciągnął chłopca przez tunel, trzymając go przed sobą, by mu nie uciekł.

Potem Lia podała Samowi maleństwo.

- Ma chyba kilka tygodni.

Sam wziął dziecko na ręce, rozpiął kombinezon i wsadził pod niego dziecko, przyciskając je do piersi. Gdy zapiął kombinezon, tylko czubek głowy dziecka był widoczny. Na moment położył rękę na miękkich włosach niemowlęcia, a potem spojrział na Lię.

- Wyniosę je stąd. Zaraz zabierzemy się za usuwanie rzeczy, wrócę jak najszybciej. Jak Hika?

- Ma złamaną nogę. Właśnie straciła przytomność. Przynieś plecak, jeśli zdołasz.

Wracając do pacjentki, nie mogła zapomnieć drobnego gestu Sama, kiedy położył rękę na główce dziecka. Ten gest był pewnie mimowolny, Sam nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ona jednak nigdy go nie zapomni. Bo pozwoliło jej to zapomnieć o własnym strachu.

Gdy znalazła się znów obok Hiki i mogła ją zbadać, nie miała czasu na myślenie o czymkolwiek poza koniecznością utrzymania pacjentki przy życiu.

- Dzieciom chyba nic nie jest - oznajmił Sam, wróciwszy do Lii. - Ledwie jakieś zadrapania.

- Hika ma otwarte złamanie kości udowej - rzekła Lia. - Nie ma czucia w stopie, noga jest zimna. Straciła sporo krwi. Potrzebne mi płyny i środek przeciwbólowy. I szyna do unieruchomienia nogi.

- Wysłałem kogoś po kosz ratunkowy. Na zewnątrz jest sporo ludzi. Przyszli z całej wioski. Kontaktowałem się z Ky'em, wyśle nam samochód. I przyśle piłę łańcuchową na wypadek, gdyby była tu potrzebna.

Plecak był zbyt duży, by precyzyjnie go przez otwór, więc Sam otworzył go i podawał Lii znajdujące się w nim rzeczy: sprzęt do kroplówki, sól fizjologiczną i leki.

- Muszę tam wejść, żeby ci pomóc. Poproszę, żeby ktoś przyszedł i podniósł tę belkę, żebym się precyzyjnie.

Lia pokręciła głową.

- To zbyt ryzykowne. Jeśli dach przemieści się jeszcze choć odrobinę, piła łańcuchowa nie wystarczy, żeby nas stąd wydostać. Zrobię sama, co trzeba. Hika wymaga operacji, kiedy dotrze do szpitala. - Próbowала przywołać na twarz uśmiech. - Wtedy przyjdzie czas na ciebie. Okej?

Sam potrząsnął głową.

- Lubisz rządzić, co?

- Trzeba się tego nauczyć, jak się dorasta z ósemką rodzeństwa.

- Ósemką? - Szeroko otworzył oczy. - Teraz rozumiem, że jestem na straconej pozycji. Jeśli chodzi o rodzinę, miałem tylko psa, i to psa znajomych, którym się krótko opiekowałem.

Nie była to do końca prawda.

Wydostanie się z tunelu zajęło mu dość czasu, by stary ból znów się odezwał. Powróciło radosne zaskoczenie, gdy się dowiedział, że zostanie ojcem i znów będzie miał rodzinę, bo jako młody chłopak stracił oboje rodziców.

Powrócił koszmar, który przeżył, gdy usłyszał, że dziecko nie jest jego. Że żona go opuszcza, by zacząć nowe życie z prawdziwym ojcem dziecka. I owszem, zabierze połowę majątku Sama, by nowe życie było tym, czego od dawna pragnęła.

Poczuł wówczas, że musi wyjść z domu w czasie szalejącej burzy, zostać wysmaganym deszczem i wiatrem. W tamtej chwili jego życie wydawało się takim samym chaosem jak ten panujący w naturze. Tak nieznośnym, że od niego uciekł. Żeglował ukochanym jachtem dookoła świata. Przypadkiem prądy zniosły go na te wyspy, gdzie odkrył nowy cel w życiu.

A teraz pomagał członkowi społeczności, którą obdarzył szczerym uczuciem. Nie wielki tłum wyspiarzy patrzył na niego jak na przywódcę, którego potrzebowali w trudnej sytuacji. Zrobi wszystko, by ta akcja zakończyła się powodzeniem. Nie pozwoli, by odwaga i wysiłek Lii poszły na marne. Nie wyobrażał sobie też, że mógłby stanąć twarzą w twarz z jej rodziną i oznajmić, że odpowiada za to, że świat stracił tak wyjątkową młodą kobietę.

Zajęło im to wiele godzin ciężkiej pracy w ekstremalnych warunkach. Przesuwając czy podnosząc elementy konstrukcji, musieli uważać na ostre krawędzie i sterzące gwoździe, które mogły kogoś zranić. Od czasu do czasu Sam kazał mężczyznom się zatrzymać, wchodził do środka i sprawdzał, czy Lia jest bezpieczna. Na szczęście Hika jeszcze żyła.

- Ciśnienie trochę się podniosło. Podaję jej drugi litr soli fizjologicznej. Unieruchomiłam nogę, więc mam nadzieję, że to pomoże kontrolować krwawienie.

- Robisz świetną robotę. Jak się czujesz?

- Dobrze. Chciałabym stąd wyjść.

- Lada moment, zbliżamy się do was.

- Liczę na to, Sam.

Musiąca jeszcze uzbroić się w cierpliwość, ale w końcu teren został oczyszczony, a konstrukcja dachu w jednym rogu wystarczająco zabezpieczona, by grupa mężczyzn go uniosła. Sam był gotów, z Afim u boku i noszami.

Mężczyźni musieli utrzymać dach wystarczająco długo, by Sam i Afi położyli Hikę na noszach i wydostali się z miejsca, gdzie leżała. Sukces ich akcji w dużym stopniu zależał od szczęścia. Musieli wykorzystać chwilę między dwoma silnymi powiewami, które nie pozwoliłyby kontrolować tego, co zostało z dachu.

Może to było szczęście, a może burza pod koniec drugiego dnia cyklonu nieco zleżała. Liczyło się tylko to, że Hika znalazła się na noszach, a na zewnątrz czekało wiele chętnych rąk, by przenieść ją do dżipa, który przysłał Ky. Stara ciężarówka z platformą miała z kolei zawieźć mieszkańców wioski do szkoły, gdzie będą bezpieczni.

- Obejrzałeś dzieci? - Lia spojrzała przez okno dżipa na Afiego, który siedział w szoferce furgonetki z maleństwem na rękach i dwójką dzieci przyklejonych do jego boków.

- Tak - odparł Sam. - Poproszę jeszcze kogoś z miejscowej przychodni, żeby na nie zerknął.

- Nie możemy ich zabrać? Hika potrzebuje rodziny.

- Mogą być inni poszkodowani, którzy muszą zmieścić się na łodzi.

- A jeśli będzie miejsce?

Patrzyła na niego błaganie. Sam pamiętał pierwszy dzień jej pracy, gdy dość obcesowo zwrócił jej uwagę, że zbyt często korzysta z prywatnego telefonu. Jej brat miał akurat operację, a ona chciała być na bieżąco.

Na temat rodziny wiedziała więcej od niego. Jak ważne jest bycie razem w trudnych momentach. Dla tej rodziny ryzykowała życiem. Zasłużyła na to, by uszanować jej prośbę. Poza tym Sam chciał to dla niej zrobić. Chciał widzieć jej uśmiech.

- Jeśli będzie miejsce, zabierzemy ich. Niech rodzina będzie razem.

Samochód podskoczył na wyboistej drodze, a ich półprzytomna pacjentka jęknęła. Lia natychmiast skupiła na niej uwagę. Sam zdążył jednak zobaczyć jej uśmiech.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tego dnia personel szpitala na Wildfire pracował do granic wytrzymałości.

Z pomocą drugiego lekarza, Keanu oraz Hettie i Anahery Sam operował Hikę, więc nie był świadkiem dramatu, kiedy jedno skrzydło szpitala zostało uszkodzone przez wichurę, co oznaczało konieczność przeniesienia pacjentów do innych pokoi. Dopiero przewożąc Hikę na oddział intensywnej opieki, przekonał się, że warunki ich pracy uległy znaczącej zmianie. Pośród sprzętu monitorującego nie było dość miejsca na kolejne łóżko.

- Musimy zatrzymać tu Keoniego, który wymaga stałego monitorowania. Sefinę można przenieść. Jej stan jest stabilny.

- Straciliśmy wiele łóżek - poinformowała Caroline. - W północnym skrzydle zostały wybite okna. Nikt nie miał czasu sprzątnąć szkła, jest tam też sporo wody. W tamtym skrzydle nie ma prądu. Jack sprawdza generatory, ale musimy się przygotować na więcej przestojów.

- Możemy wykorzystać jakiś gabinet w przychodni?

- Poczekalnie pękają w szwach. Mamy więcej rannych z Atangi. Gdyby nie nowa ratownicza, nie dalibyśmy rady.

- Pójdę tam.

- Idę z tobą - rzekła Hettie. - Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Joni. Sefina o niego pytała.

Zadowolony, że zostawia Hikę w dobrych rękach, Sam ruszył do przychodni. Nie tylko dlatego, że potrzebowano tam lekarza. Chciał znów zobaczyć Lię, powiedzieć jej, że operacja Hiki przebiegła pomyślnie.

Mógł też poprosić ją, by zrobiła sobie przerwę i się przespaała. Jeśli nie trzeba będzie kogoś pilnie operować, wystarczy im personelu. Po dramatycznej akcji ratunkowej z pewnością była wyczerpana, a jednak, gdy przeprowadzał operację, wciąż pracowała.

On też ledwo trzymał się na nogach.

Nie wybierał się jednak do domu, gdyż zbyt wielu ludzi oczekiwało na badanie i leczenie. Szybko stało się jasne, że trudno będzie zamienić z Lią choćby słowo. Nie tylko poczekalnie były przepełnione, we wszystkich pomieszczeniach siedzieli ludzie. Jedni mieli wymagające szcycia rany, inni złamania, które trzeba było prześwietlić i unieruchomić. Guzy i siniaki, które należało obejrzeć i ocenić. Przeróżone dzieci wymagały dokładnego badania, by nie pominąć żadnego urazu.

Minęła godzina, potem druga. Sam przechodził od jednego pacjenta do drugiego, przeciskając się przez zatłoczone pomieszczenia, zatrzymując się obok tych, którym należało zająć się w pierwszej kolejności. Co i rusz w tym tłumie migiała mu Lia.

W pewnym momencie kucała przed dzieckiem, unieruchamiając mu nadgarstek. Innym znów razem badała stetoskopem starszego mężczyznę, marszcząc czoło, skupiona na tym, co chciała usłyszeć.

Gdy wreszcie Sam miał szansę się do niej zbliżyć, by porozmawiać, Lia niosła na rękach dziecko.

- To córka Hiki?

- Tak, trzeba jej zmienić pieluchę. I nakarmić. Próbuję znaleźć Vaileę, żeby mi pomogła.

Lia była w służbowym ubraniu. Szerokie spodnie zakrywały szczupłe nogi. Bezkształtna bluzka odsłaniała nagie ręce. Może to jej oliwkowa skóra przypomniała Samowi to, co już o niej wiedział. Jak to jest jej dotykać. Ale ponieważ to była nieodpowiednia pora na takie myśli, skupił się znów na dziecku.

- Zbadano ją dokładnie?

- Tylko ja ją badałam. Chcesz ją jeszcze zbadać?

- A ty nie masz wątpliwości?

- Nie, myślę, że Hika cały czas trzymała ją w objęciach. Była dobrze chroniona.

To był dopiero drugi dzień ich wspólnej pracy, ale Sam był więcej niż pewny, że może ufać profesjonalizmowi Lii. Przeszli razem prawdziwą próbę ogniową.

- W takim razie moje badanie nie jest konieczne.

- Zbadałam wszystkie dzieci. Ema ma kilka otarć i zadrapań. Co z Hiką?

- W porządku. Kość nastawiona, podałem jej antybiotyki. Ciśnienie wraca do normy. Nic jej już nie grozi.

- Och, to świetnie. - Lia się rozpromieniła. - A co z naczyniami krwionośnymi i uszkodzeniem nerwów?

- Musimy poczekać, aż się wybudzi, żeby sprawdzić czucie i ruch. Minie trochę czasu, zanim zacznie chodzić, ale jestem przekonany, że wróci do formy.

Lia uśmiechnęła się szeroko.

- Dobrze sobie poradziliśmy, co?

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Tak, dobrze.

Dziecko w ramionach Lii zakwiliło, więc ruszyła przed siebie. Sam przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem.

Nieraz ratował ludziom życie. Uczestniczył w akcjach, które mogły zakończyć się katastrofą. Nie zliczyłby, ile operacji wykonał, dzięki którym pacjenci wrócili do pełnej sprawności. Czemu ten przypadek wydawał mu się tak wyjątkowy? Bo pracował z Lią?

Bo jego podziw dla niej rósł z każdą chwilą. Nie tylko kompetentnie oceniała stan pacjentów i stosowała odpowiednie leczenie, potrafiła też nawiązać z nimi kontakt. Była odważna i silna.

Lia Roselli jest wyjątkowa. Dzięki Bogu minionej nocy nie doznała żadnego uszczerbku. Gdy Sam badał kolejnego pacjenta, przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy pozwolił Lii zostać w zagrażającym życiu domu. W tamtej chwili jej bezpieczeństwo uważał za najważniejsze. Wcześniej, gdy trzymał ją w ramionach w łóżku i usłyszeli brzęk tłuczonego szkła, obiecał, że zapewni jej bezpieczeństwo.

Sam siebie zaskoczył. Ostrzegawczy sygnał, że może się zakochać, był dość głośny, by się wycofał, i to tak szybko, że nawet nie miał czasu analizować ani nazwać swoich emocji. Złamał zasadę, która mówiła o rozdzielności życia prywatnego i pracy. Tak, był pod ogromnym wrażeniem osobowości i ciała Lii. Ale wszystko, co poza

to wykraczało, było wyłącznie konsekwencją wspólnego pełnego adrenaliny doświadczenia. I wyczerpania.

To tylko przelotny romans. Zapewne na dłużej zapisze się w jego pamięci niż inne romanse, ale nic poza tym. Nie może stać się niczym więcej. Po prostu nie myślał logicznie, czemu trudno się dziwić. Kilka godzin snu pozwoli mu wrócić do normy.

On jest nie do pobicia, prawda?

Lia ledwie trzymała się na nogach, a chwilowe zawroty głowy mówiły jej, że jeśli choć trochę się nie prześpi, będzie bezużyteczna dla pacjentów.

Tymczasem Sam nie zwalniał, choć był na nogach tak długo jak ona. Przeżył stres związany z operacją Hiki, a teraz nie tylko zajmował się przypadkami, które przekraczały jej kompetencje, ale zaglądał też do poczekalni, gdzie liczba oczekujących stopniowo malała.

Lia widziała go niemal za każdym razem, gdy szła po nowego pacjenta albo zabierała kogoś na prześwietlenie lub przechodziła do pomieszczenia, gdzie Hettie zakładała gips osobom z tak zwanym złamaniem Collesa.

Widziała, jak dużo czasu zajmowało Samowi przejście przez poczekalnię, gdyż wielu wyspiarzy chciało, by to właśnie on ich zbadał. Darzono go szacunkiem i wszyscy wiedzieli, że otrzymają od niego pomoc, a także pokrzepienie. Przebywał tam dość długo, by zasłużyć na coś więcej niż szacunek i zaufanie. Lia zauważyła, że poklepywał kogoś dorosłego czy brał na rękę dziecko, które radośnie obejmowało go za szyję. Widziała wyraz twarzy ludzi, którym ofiarowywał pociechę albo ścisnął dłoń. Ci ludzie go kochali.

Naprawdę myślała, że on tu nie pasuje? Że wygląda, jakby grał rolę w jakimś filmie? Był jednym z nich, choć się wyróżniał, także jaśniejszą skórą i wypłowiałymi od słońca włosami. Co go tu przywiodło? I czemu pozostał tu dość długo, by stać się integralną częścią oddalonej od świata społeczności?

Może to zmęczenie, które usiłowała przezwyciężyć, by trwać na posterunku, nie pozwalało jej odsunąć od siebie myśli, które były bardziej strzępkami emocji niż świadomym przypomnieniem sekwencji zdarzeń.

Na przykład ich pierwszy pocałunek na plaży, kiedy burza dopiero się rozkręcała. Tego pocałunku nie dało się porównać z żadnym innym. Mocny uścisk ręki Sama, gdy objął ją w pasie i prowadził w stronę domu. Seks...

Gdy wróciła znów do poczekalni, na moment przystanęła. Ludzi było mniej i nie wyglądało na to, by ktoś był poważnie ranny. Nie było widać plam krwi ani prowizorycznych opatrunków. Nikt nie trzymał sztywno ręki ani nogi, jakby bał się nią ruszyć. Żadne dziecko nie płakało w ramionach rodziców. Nie było też Sama.

Teraz naprawdę kręciło jej się w głowie. Kiedy ostatnio coś jadła? Czy choćby piła wodę?

- Nic ci nie jest?

Nic dziwnego, że go nie dojrzała. Był za jej plecami.

- Trochę mi się w głowie kręci. Chyba powinnam coś zjeść.

- Chodź ze mną. Podobno Vailea zostawiła górę kanapek w pokoju służbowym.

- Ale... - Lia się rozejrzała.

- Wszystkie pilne przypadki są załatwione. Keanu i Ana mieli przerwę, teraz wró-

cą do pracy, a my odpoczniemy. Nie musisz wracać do jutra rana, jeśli nic się nie zmieni.

Z ulgą poszła za Samem, usiadła i zjadła najsmaczniejsze kanapki z sałatką jajeczną, jakie jadła kiedykolwiek, i wypła więcej niż jedną filiżankę mocnej słodkiej herbaty.

- Pójdiesz do domu się przespać?

- Muszę. Tu nie znajdę wolnego łóżka.

- Czy mi się zdaje, czy wiatr zelżał?

Sam się uśmiechnął.

- Najgorsze za nami. Ludzie zaczynają wracać do domów. Możemy mieć kilku nowych pacjentów z sąsiednich wysp, ale Atangi ma za sobą najgorszy atak cyklonu i chyba nieźle sobie z tym poradziłyśmy. O ile wiem, nie ma ofiar. Dzięki tobie - dodał. - Hika była najpoważniej poszkodowaną osobą. Gdybyś z nią nie została, mogłaby nie przeżyć. Straciła dużo krwi.

Lia czuła, że powieki jej opadają. Nawet pochwały Sama nie przywołały na jej twarz uśmiechu.

- Chodź. Odprowadzę cię.

Wiatr stracił na sile. Bez trudu można było poruszać się samodzielnie, więc Sam nie musiał trzymać Lii za rękę.

Nie musiał też się zatrzymywać, gdy dotarli do domu Lii, a jednak to zrobił. Potarł czoło, jakby był zbyt zmęczony, by sobie przypomnieć, co chciał jej powiedzieć, a potem podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

Widziała jego ogromne zmęczenie. Widziała też coś, co przypominało zakłopotanie. Jakby chciał o coś zapytać, a jednocześnie wybił to sobie z głowy.

Czy chciał ją znów zaprosić do siebie?

Żeby z nim spała? Na więcej nie było ich teraz stać, ale bez wahania by się zgodziła.

W tej właśnie chwili pojęła, że jest zgubiona. Zakochiwała się w Samie. Może już się zakochała, tylko tego nie dostrzegła. Może chodzi o sposób, w jaki na nią patrzył, kiedy wiedział, że naraża ją na niebezpieczeństwo, zostawiając ją w ruinach domu Hiki.

A może o to, jak przytulił do piersi niemowlę i położył dłoń na jego główce, by je chronić. Ta świadomość była dla niej takim szokiem, że wstrzymała oddech. Czy jej twarz coś zdradza? Czy dlatego Sam przerwał kontakt wzrokowy i odsunął się od niej?

- Śpij dobrze, Lia. Do zobaczenia rano.

Nie znajdowała słów. Gdyby otworzyła usta, kto wie, co by powiedziała? Coś szalonego, na przykład: Kocham cię?

Jak długo go zna? Dwa dni. Długie dni, to prawda, w okolicznościach, które pozwalają poznać człowieka bardzo szybko, mimo to...

To idiotyczne. Dużo bezpieczniej kiwnąć głową i odwrócić się od niego.

Wykorzystać resztkę energii na powrót do rzeczywistości. Wcześniej tego dnia udało jej się wysłać rodzinie esemesa z wiadomością, że jest bezpieczna i żeby się nie denerwowali tym, co mogą usłyszeć na temat cyklonu. W odpowiedzi dostała chyba dziesięć wiadomości, musiała je przeczytać na wypadek, gdyby było w nich

coś na temat Nica czy Angel.

Okazało się, że w domu wszystko w porządku, a wiadomości wyrażały zaniepokojenie jej sytuacją. Tęsknili za nią i czekali, aż wróci, a miłość bliskich, którą czuła w tych słowach, zacisnęła jej gardło ze wzruszenia, do jej oczu napłynęły łzy, których nie miała siły otrzeć. Wysłała do wszystkich tę samą wiadomość. Że jest bezpieczna, że najgorsze za nimi, że niedługo będzie w domu i nie może się doczekać, kiedy ich zobaczy.

To prawda. Niezależnie od tego, jak ekscytujące chwile spędzała na wyspie, ani co czuła do Sama, musi wrócić do swojego prawdziwego życia, którego na nic by nie zamieniła.

W końcu weszła pod prysznic, jednak gorąca woda, choć fizycznie przyniosła ulgę, nie zmyła poczucia, że jej życie być może właśnie zmieniło się na zawsze.

Doceniła też miękkie łóżko, ale choć sen nadchodził szybko, nie mogła się pozbyć wrażenia, że coś poszło nie tak. Jadąc na Wildfire, ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, był związek z mężczyzną. W tym momencie swojego życia nie mogła sobie na to pozwolić – albo nie chciała komplikacji, które niósł z sobą stan zakochania.

A jednak jej się to przytrafiło. Wpadła w zasadzkę. Ostrzeżenie było zbyt słabe, by zdążyła przygotować się do obrony, a teraz było już za późno. A może nie. Zmęczenie nie pozwalało jej logicznie myśleć. Może kiedy się obudzi, inaczej na to wszystko spojrzy.

Tak, wszystko wyglądało inaczej. Jaśniej.

Deszcz ustał, pokrywa chmur się rozrzedziła, nie brakowało dziennego światła. Ale nie o to chodziło. Także nie o to, że szpital był mniej zatłoczony i zdawało się, że wszystko jest pod kontrolą.

Gdy tylko Lia weszła do pokoju służbowego i zobaczyła Sama, poczuła, jakby zdjęła ciemne okulary.

Sam wyglądał... fantastycznie.

Prawdę mówiąc, trochę niedbale. Włosy miał nieuczesane, wokół oczu widniały głębokie zmarszczki i z pewnością jakiś czas się nie golił.

W tym momencie zrozumiała, że sen tylko pogorszył sprawy. Niczego tak nie pragnęła jak właśnie tego, by pogłaskać zarośnięte policzki Sama i dotknąć głębokich zmarszczek. Upewnić się, że coś zjadł, a potem położyć go do łóżka i pozwolić mu spać.

Chęć zaopiekowania się Samem była tak silna, jak chęć opiekowania się Nikiem albo Angel.

Towarzyszyło jej jednak pragnienie innego rodzaju. Pożądanie, którego nikt z jej bliskich nie mógł zaspokoić.

Na domiar złego miała fatalne przeczucie, że to jej klęska. Należy do innego świata niż Sam i za paręnaście dni do niego wróci. Wiedziała, że to będzie bolesne.

Dziwne, że jedno spojrzenie może człowiekowi aż tyle uświadomić i że nikt inny nawet tego nie zauważy.

Sam nie podniósł wzroku znad kubka z kawą, który trzymał w ręce. Jack siedział przy radiu ze słuchawkami na uszach, regulował zakres fal, zaś Hettie patrzyła na coś, co znajdowało się we włączonej kuchence mikrofalowej.

Nie, oczy miała zamknięte. Może ze zmęczenia zasnęła na stojąco.

- Cześć. - Lia wyciągnęła krzesło, by usiąść przy stole. - Chyba jestem jedyną osobą, która spała. - Zerknęła na Sama, kiedy podniósł wzrok. - Ile godzin spałeś?

- Parę. Z Atangi przywieziono ciężarną, miała trudny poród. Zakończyło się cesarką.

- Idę zaraz do domu - oznajmiła Hettie - jak tylko podgrzeję to dla pacjenta. Będę spała do jutra.

- A ja drzemałem tu między wezwaniem - wtrącił Jack.

- Dużo ich było?

- Niewiele. Chwilę temu ktoś próbował się połączyć, ale połączenie zostało przerwane. Próbuję złapać inne fale na wypadek, gdyby ten ktoś nie korzystał z naszej częstotliwości. - Pokręcił znów gałką, nasłuchując.

Hettie wyszła z pokoju. Lia poczuła, że Sam na nią patrzy, ale ona nie spuszczała wzroku z Jacka. Nie chciała, by Sam się domyślał, co jej chodzi po głowie ani co dzieje się w jej sercu. Bo na pewno nie czuł tego samego co ona. Musiał jednak odebrać od niej jakiś sygnał, który kazał mu się odsunąć.

Była gościem w jego życiu, jak pewnie wiele innych. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, były zapewne komplikacje, coś więcej niż przyjemność, co zamieniłoby się w kłopot.

Tymczasem Lia, nawet jeśli miała pozostać tu chwilowo, nie chciała odrzucać szansy bycia z nim sam na sam. Chociaż rozsądek mówił jej co innego. Im bardziej się do niego zbliży, tym trudniej będzie odejść.

Zakręciło jej się w głowie, zamknęła oczy, by otworzyć je na dźwięk głośnych trzasków radia.

- Mayday... Mayday... Mayday. Tu jacht "Eclipse". Mayday... Mayday... czy ktoś mnie słyszy?

Jack nacisnął przycisk na mikrofonie.

- Baza ratunkowa Wildfire. Słyszę cię wyraźnie. Gdzie się znajdujesz? Odbiór.

Lia poczuła skok adrenaliny i przeniosła wzrok na Sama. Już nie wyglądał na zmęczonego. Był równie skupiony jak ona. Gotowy na wszystko.

Po kilku minutach połączenie dobiegło końca.

Jack wciąż siedział przy biurku. Nad nim stali Lia i Sam, a on pokazywał jakiś punkt na mapie.

- Jest tu. Jeśli dryfuje, skończy na tej rafie.

- Nie może robić nic innego tylko dryfować. Stracił maszt, złamał rękę tak fatalnie, że nie jest w stanie uruchomić silnika. - Sam zmarszczył czoło. - Wiatr się zmniejszył, ale fale wciąż są wysokie. Nie ma szansy.

- Wysłać straż przybrzeżną?

Jack patrzył na ekran komputera, gdzie wyświetlił prognozę pogody.

- To może trwać za długo. A ich łódź całą noc pracowała.

- Przy takim wietrze można lecieć. Może trochę rzucać. Ale jest wystarczająco bezpiecznie.

- Trzeba by go podnieść wciągarką. - Lia wzięła głęboki oddech. - Jestem gotowa, ale musimy mieć trzeciego członka załogi, który będzie obsługiwał wciągarkę. Czy jest ktoś wolny i kompetentny?

Na moment zapadła cisza.

Jack odwrócił się i spojrzał na Sama, który powoli skinął głową.

- Tak, ja.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdyby Samowi naprawdę groziło, że zakocha się w Lii, nie byłby zadowolony z tego, że siedzi z nią na tyle śmigłowca, wiedząc, że ona znów ryzykuje życiem.

To jej praca, wie, co robi.

On też wiedział, co robi. Brał już udział w podobnych akcjach ratunkowych jako operator wciągarki i lekarz, którego spuszczano na pokład łodzi, by wciągnął na górę pacjenta. Znał związane z tym zagrożenia.

Trzeba uważać, by lina nie zaplątała się w któryś z masztów, trzeba precyzyjnie wymierzyć moment kontaktu z pokładem, by nie połamać nóg.

Może to zrobić dla Lii. Zadać o to, by bezpiecznie wykonała swoją pracę. Spuszczą ją na pokład, a ona zrobi wszystko, co trzeba, by pomóc samotnemu żeglarzowi, którego złapał sztorm. Przypnie go bezpiecznie do swoich szelek, potem wciągną oboje na górę i w ciągu godziny wrócą do szpitala.

Z jachtem trzeba się pożegnać, ale takie jest ryzyko żeglowania. Starą łódź można zastąpić nową. Życie jest tylko jedno.

A zatem Sam zgodził się przyjąć to zadanie, bo poza wszystkim znaczyło to, że Lia pozostanie jego koleżanką z pracy. To nie znaczy, że jest mu obojętna. Niepokoił się o nią tak samo jak wtedy, gdy została w gruzach domu, ale znał też jej możliwości. Wiedział, jak troszczyła się o rodzinę i jak ważne było dla niej, by wrócić do bliskich. Nie ryzykowała bez potrzeby.

Jack miał rację, uprzedzając ich o turbulencjach. Nie mylił się też co do wielkości fal, które widzieli teraz w dole. Sam oceniał ich wysokość na dobre dziesięć metrów. Spienione szczyty fal nie pozwalały im dojrzeć ich celu.

- Tam jest. Na trzeciej.

- Zrozumiałem. - Śmigłowiec przechylił się, gdy Jack zaczął krążyć. - Kurs z wiatrem.

Lia sprawdzała szelki i szykowała się do skoku, gdy drzwi śmigłowca się otworzą.

Sam skupił się na swojej pracy.

- Sprawdzam wciągarkę.

Śmigłowiec zakołysał się, ale Jack nie wydawał się tym zaniepokojony, panował nad maszyną. Sam podał Lii karabińczyk, który doczepiła do swej uprząży, sprawdzając, czy jest dobrze zabezpieczony, i skinieniem głowy dała znak, że jest gotowa.

- Lia idzie do drzwi.

Uśmiechnęła się do Sama.

- Nie upuść mnie, okej?

Odpowiedział uśmiechem.

- Nie martw się.

Kiedy ją spuszczał, lekko się zakręciła, ale wyciągnęła ramiona, by zwolnić ruch, a jej głos w słuchawkach brzmiał spokojnie.

- Dziesięć metrów... osiem... Zatrzymaj na chwilę. Idzie duża fala.

Jack doskonale sobie radził, utrzymując śmigłowiec tak stabilnie, jak tylko się dało w tych warunkach. Patrzył na Lię. Odpowiadał za to, by śmigłowiec i jego załoga byli bezpieczni. Na desce rozdzielczej miał przycisk, który przeciąłby linę wciągarki, gdyby w coś się zaplątała i mogła ściągnąć ich w dół. Sam miał dostęp do urządzenia o podobnym działaniu.

Co prawda nigdy nawet nie pomyślał, by go użyć, i tym razem też się tego nie spodziewał.

Trudno powiedzieć, jak do tego doszło. Może jacht nieoczekiwanie przechylił się na szczycie fali, może śmigłowiec wpadł w dziurę powietrzną, a może sprawił to poryw wiatru.

Cokolwiek to było, stało się w ułamku sekundy.

Lia krzyknęła. Było oczywiste, że kabel wciągarki zahaczył o złamany maszt.

- Przetnij kabel - wrzasnął Jack, walcząc z kontrolkami śmigłowca.

Sam musiał to zrobić, wystarczyłaby chwila wahania i dla wszystkich oznaczałoby to koniec. Śmigłowiec spadłby jak kamień, pewnie prosto na jacht. A w ten sposób przynajmniej Lia miała szansę. Znajdowała się jakieś dwa metry od pokładu, nie wyładowałaby w oceanie.

Sam nacisnął przycisk, nie dając sobie więcej czasu na myślenie. Śmigłowiec uniósł się, lecz on patrzył w dół, wychylając się przez otwarte drzwi.

Lia upadła z przerażającym głuchym hukiem. Przetoczyła się po pokładzie i przez pełną napięcia chwilę Sam myślał, że ześliznie się do wody, ale coś ją zatrzymało.

- Lia? - Jack odezwał się przez radio. - Mów do nas. Nic ci nie jest?

Widzieli ją leżącą na pokładzie. Potem zobaczyli, że ktoś wyszedł spod pokładu. Żeglarz, któremu lecieli na ratunek, poruszał się powoli, chronił złamaną rękę, przez którą nie mógł sterować jachtem.

Dotarł do Lii i przyklęknął obok niej. Potem podniósł wzrok na śmigłowiec i wydało się, że kiwnął głową.

Czy to znaczy, że Lia żyje? Jest przytomna?

- Lia!

Sam nie powinien krzyczeć. Jego głos powinien do niej dotrzeć przez słuchawki w kasku. Jej głos powinien płynąć równie wyraźnie przez jej mikrofon, a tymczasem nie słyszeli żadnego dźwięku poza złowieszczym buczeniem.

- Pewnie radio wysiadło - zauważył Jack. - Mogła uderzyć kaskiem w pokład i je uszkodzić.

- Nie rusza się.

- Nic nie możemy zrobić. - Jack zaczął zawracać. - Musimy wysłać tu łódź. Wciąż jest czas, zanim zbyt blisko zbliżą się do rafy.

- Zaczekaj... Chcę zobaczyć, czy ona się rusza.

Ale Jack leciał dalej, bo tak trzeba. Muszą skontaktować się ze strażą przybrzeżną, by jak najszybciej wysłała tam łódź. Czy Lia jest przytomna, czy nie, to bez różnicy.

Poza tym że Sam miał wrażenie, jakby serce mu pękło.

Koledzy z pracy? Nieprawda.

Przelotny romans? Takie samo kłamstwo.

Życie Lii było dla niego ważniejsze niż jego własne. Nigdy dotąd nie myślał podob-

nie.

Bo w nikim nie był tak zakochany?

- Zabierz mnie na Atangi - powiedział do Jacka. - Jeśli ktoś ma popłynąć tą łodzią, ja to zrobię.

Lia nie była ranna.

Uderzenie było dość silne, więc na wszelki wypadek instynktownie leżała nieruchomo, dopóki nie oceniła swojego stanu. Lepiej się nie ruszać, gdyby złamała kark.

Za to z pewnością tak mocno uderzyła kaskiem o pokład, że zniszczyła radio. Słyszała wołających w górze mężczyzn, choć w słuchawkach były raczej trzaski. Odpowiedziała Jackowi, że nic jej nie jest, ale najwyraźniej jej słowa do niego nie dotarły.

Potem usłyszała, jak Sam woła ją po imieniu. W jego głosie rozpoznała cień desperacji. Ona też tak by się czuła, gdyby się obawiała, że to jemu przytrafiło się coś straszego.

Czy to znaczy, że jej uczucia dla Sama nie są jednostronne?

Ta myśl była równie szokująca jak uderzenie dla jej ciała. Spróbowała się poruszyć. Musi się tylko podnieść i pomachać, ale jej ciało nie dość szybko z nią współpracowało, a teraz klęczał obok niej jakiś mężczyzna i pytał, czy z nią wszystko w porządku.

Poruszyła palcami w butach, zacisnęła i rozprostowała palce dłoni. Bez trudu wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze, nie czując przy tym bólu. Na szczęście nie złamała żeber, co utrudniałoby jej poruszanie się po kołyszącej się łodzi.

Trzaski i szумы w kasku nabrały na sile, tylko od czasu do czasu docierało do niej jakieś słowo z rozmowy Sama i Jacka. Słyszała, jak mówili o łodzi i o czasie, zanim uderzą w rafę, ale nie była w stanie ocenić, czy były to słowa pełne nadziei, czy raczej prognoza jej klęski.

Ogarnął ją strach i to on dał jej siłę, by się poruszać. Mężczyzna obok niej miał fatalnie złamaną rękę. Jeśli ktoś tu mógłby uruchomić silnik i ustrzec jacht przez katastrofą, nim dotrą do nich ratownicy, to właśnie ona.

Jej nogi i ręce zachowały sprawność. Lia najpierw uklękła, a potem wstała.

Musiała się czegoś chwycić, aż miną zawroty głowy, potem wzięła kolejny głęboki oddech i podniosła wzrok.

Punkcik, w jaki zamienił się śmigłowiec zniknął w oddali. Sam...

Zdawało się, że krzyknęła, ale z jej ust wydobył się ledwie szept. Czy jeszcze kiedyś go zobaczy, czy znajdzie się w jego ramionach?

Musi zrobić wszystko, by tak się stało.

Odwróciła się do nieznanego żeglarza.

- Jestem Lia - oznajmiła. - Proszę mi pokazać, jak sterować tym jachtem, a potem zajmiemy się pana ręką.

Sternik łodzi straży przybrzeżnej został wyrwany z głębokiego snu. Postarał się, by łódź szybko wypłynęła, ale zanim wyruszyli z Samem na morze, minęła prawie godzina, odkąd śmigłowiec zostawił jacht na łasce losu.

Kto wie, czy wciąż utrzymywał się na falach?

Dwa silniki łodzi motorowej działały na pełnych obrotach. Łódź pruć fale, co rusz

wyskakując nad powierzchnię wody, by opaść na nią z hukiem.

Towarzyszył im Jack. Mogli potrzebować dodatkowej pary rąk, by w tych warunkach przenieść uszkodzanych z jednej łodzi na drugą.

- Nie zostawisz mnie tu - oznajmił Jack Samowi. - Tam jest Lia, a ja odpowiadam za bezpieczeństwo załogi śmigłowca.

Nie mieli pojęcia, czy Lia wciąż żyje. Czy wystaliby łódź, zmuszając ją do pracy na granicy jej wytrzymałości, gdyby chodziło o nieznanego rozbitka?

Tak, ale nie mieliby poczucia, że to aż tak pilne.

Jakby to, co zastaną na jachcie, mogło odmienić życie Sama. Dotarli do celu szybciej, niż się spodziewali.

- Działa ich silnik! - krzyknął sternik. - Są daleko od rafy.

- Myślałem, że ten gość na łodzi jest ciężko ranny i nie może uruchomić silnika - zauważył Sam.

- Ma pomoc - stwierdził Jack z uśmiechem. - Nie jestem zaskoczony.

Sam poczuł coś więcej niż ulgę. Nie robił sobie zbyt wiele nadziei, ale gdyby się okazało, że Jack miał rację, byłby z Lii niewyobrażalnie dumny.

Sternik próbował porozumieć się z jachtem przez radio.

- Straż przybrzeżna do „Eclipse”. Słyszycie mnie? Odbiór.

Po trzeciej próbie nadeszła odpowiedź.

- Hej... dzięki, że jesteście. Miło was widzieć. Odbiór.

To był kobiecy głos. Głos Lii.

- Lia... nic ci nie jest? - spytał z niepokojem Sam.

Przez głośniki rozległ się śmiech.

- Nic mi nie jest, ale nie dzięki tobie. Zrzuciłeś mnie.

- Wynagrodzę ci to - obiecał.

Powinien spytać o żeglarza, dowiedzieć się, jaki jest stan jachtu i czy trzeba ewakuować Lię i mężczyznę, po którego lecieli, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Lia sobie z tego żartuje? Miał chęć nią potrząsnąć. Nie, chciał wziąć ją w ramiona i trzymać tak mocno, by już nigdy się nie oddaliła i nigdy nie znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Zniszczyłam radio. - Jej głos brzmiał teraz poważniej. - Przekaż Jackowi, że mi przykro.

- Jestem tu - wtrącił Jack. - Nie przejmuj się, wciąż produkują radia. Powiedz nam, co się dzieje? Nic ci nie jest? Jak twój pacjent?

Te pytania powinien był zadać Sam, zamiast obiecywać, że wszystko jej wynagrodzi. Do tego stopnia osłupiał, gdy usłyszał ją żartującą w tak poważnej sytuacji, że wciąż miał gulę w gardle.

- Naprawdę nic mi nie jest. Może mam guza czy siniaka. Mój pacjent nazywa się Felix Brabant, jest Francuzem, ma czterdzieści trzy lata. Płynął do Nowej Kaledonii, ale sztorm zniósł go z kursu. Ma przemieszczone ramię, złamanie z przemieszczeniem łokcia i złożone złamanie kości promieniowej. Wszystko unieruchomiłam najlepiej, jak mogłam, i dałam mu środek przeciwbólowy. Jest dość senny, ale przytomny. Powiedział mi, jak uruchomić silniki.

Sternik przejął radio.

- Jesteście w stanie płynąć za nami do portu? Jest trudne przejście przez rafę.

Odbiór.

- Nie jestem żeglarzem, ale mogę działać zgodnie z instrukcjami - odparła Lia mniej pewnie. - Odbiór.

- Zaczekaj, Lia, zaraz coś postanowimy. Odbiór.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. W tych warunkach trudno byłoby przejść z jednej łodzi na drugą. Przeniesienie rannego, a na dodatek nieco otępiełego po lekach mężczyzny, byłoby jeszcze trudniejsze.

- Przejdę na ich pokład - stwierdził Sam. - Muszę sprawdzić silnik. Jeśli jest zbyt słaby, trzeba będzie ich tu przenieść. Jeśli będzie okej, poprowadzę jacht. Popłyniemy na Wildfire, żeby ich zawieźć prosto do szpitala.

Sternik nacisnął przycisk na mikrofonie.

- Lia? Płyniemy do was, żeby Sam mógł przejść na waszą łódź i przejąć nawigację. Wyjdź na pokład. Musisz złapać linę. Odbiór.

- Już idę. Bez odbioru.

Wymagało to więcej niż jednej próby i dużych umiejętności sternika, by łodzi wystarczająco się do siebie zbliżyły i utrzymały tę pozycję dłużej niż sekundę. W końcu Sam nie potrzebował liny, bo skoczył w momencie, gdy motorówka straży przybrzeżnej stuknęła w jacht. Skoczył, jakby miał skrzydła.

Wylądował, gwałtownie się przechylając, i wpadł na Lię, która wyciągnęła rękę, ale i tak oboje wylądowali na śliskim pokładzie. Objęci patrzyli na siebie z uśmiechem.

Słyszeli szum oddalającej się motorówki i nie przestawali się uśmiechać. Nie podnosili wzroku. Sam nie był w stanie oderwać oczu od Lii.

Nigdy w życiu nie czuł się tak jak teraz.

I wtedy bez zastanowienia powiedział coś, co musiał powiedzieć.

- Kocham cię. Nigdy więcej mnie tak nie strasz.

Szeroko otworzyła oczy. Otworzyła usta, a potem je zamknęła. Zmrużyła oczy, jakby powstrzymywała łzy, a jej wargi zadrżały w lekkim uśmiechu.

- Ja też cię kocham.

Czy można sobie wyobrazić mniej odpowiedni moment na wymianę podobnych deklaracji? Wciąż znajdowali się w trudnej sytuacji. Muszą bezpiecznie dopłynąć do celu uszkodzonym jachtem, a pod pokładem mają pacjenta, który wymaga ich pomocy.

Leżeli tak tylko kilka sekund, wreszcie się ruszyli. Cokolwiek się właśnie wydarzyło, musieli odłożyć to na później. Sam podniósł się i wyciągnął rękę do Lii.

Czy to była tylko reakcja na znalezienie Lii całej i zdrowej, zaś z jej strony tylko radość, że ktoś przyszedł jej z pomocą? Może gdy dotrą do portu, oboje będą zażenowani słowami, które tu właśnie padły.

Ale gdy Lia stanęła na nogach, wciąż patrzyła Samowi w oczy, on zaś wiedział... Wiedział, że nic się nie zmieni.

Bo to prawda. Po prostu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Porządkowanie i usuwanie skutków cyklonu zawsze trwa dłużej niż sam cyklon.

Uporanie się z tym może czasami wydawać się trudniejsze. Skok adrenaliny, kiedy człowiek robi wszystko, by przeżyć, dawno minął, zaś ulga, że się udało, także już ustępuje. Przychodzi pora na policzenie kosztów, by zrealizować plany, które pomogą ludziom odbudować ich życie i wrócić do normalności, za którą wszyscy tęsknią.

Dwa dni po najgorszym ataku cyklonu przyszedł też czas na uporządkowanie wszystkich posiadanych informacji i ustalenie priorytetów.

Sam Taylor ze strony zespołu medycznego i Ky jako szef policji i obrony cywilnej na wyspie Atangi spotkali się w pokoju służbowym w szpitalu.

Cyklony nie były tam niczym nowym, Sam już miał z nimi do czynienia. Wiedział, jak trudne są dni porządkowania. Na twarzy Ky'a widział ślady stresu.

Zniszczenia na ukochanej wyspie były podobne jak kiedyś – zerwane dachy, wyrwane z korzeniami drzewa, łodzie, które nie miały tyle szczęścia, co jego łódź, i rozbiły się rzucone przez fale na skały.

Było zbyt wiele pracy i za mało ludzi, by wykonać ją dość szybko. Szpital pękał w szwach, z powodu zniszczenia jednego skrzydła ilość łóżek znacząco się zmniejszyła. Byli też ciężko ranni, jak Hika czy francuski żeglarz Felix. Sam martwił się też o Sefinę, której podskoczyła temperatura i która wymagała obserwacji. Tak, martwił się i smucił z powodu ludzi, którzy stracili to, co było dla nich ważne.

Ale był też szczęśliwszy niż kiedykolwiek dotąd.

Ponieważ był zakochany.

A Lia wyznała, że też go kocha.

Nie mieli czasu świętować cudu, który zdarzył się w samym środku totalnego chaosu. Przeżyli pełne strachu chwile, prowadząc zniszczony jacht do portu, a potem spędzili wiele godzin w sali operacyjnej, by uratować Felixowi rękę.

Minionego dnia Sam ledwie widział Lię, która z Jackiem poleciała śmigłowcem. Sprawdzali z góry, jakie szkody wyrządził cyklon, a potem lądowali, zajmowali się poszkodowanymi, w razie konieczności transportowali ich do szpitala. Teraz już mieli orientację, z czym mają do czynienia. Sam i Ky właśnie o tym rozmawiali.

- Mieliśmy wielkie szczęście, że cyklon zmienił kierunek i zawrócił nad morze. Chyba tylko północny kraniec Atangi został poważnie dotknięty. Tam są największe zniszczenia domów.

- To świetnie, że pozostałe wyspy nie ucierpiały.

Sam kiwnął głową.

- Są drobne zniszczenia. Uniesione, ale nie zerwane dachy. Przewrócone drzewa, zniszczone plony. Kilka rannych osób, ale zdaniem Lii niezbyt groźnie. Mam listę tych, którymi się zajmowała.

- Ilekroć podnosiłem wzrok, widziałem na niebie śmigłowiec. Nawet w nocy. Kiedy wrócili, musieli padać z nóg. Mam nadzieję, że oboje porządnie to odespali – po-

wiedział Ky.

Sam wyobrażał sobie śpiącą i zrelaksowaną Lię. Czy na noc związuje włosy, czy też ciemne miękkie fale leżą rozrzucone na poduszce? Zalała go fala tęsknoty. Ale miał dyżur na intensywnej terapii, pilnował Felixa i Hiki, od czasu do czasu udawało mu się zdrzemnąć w jednym z wygodnych foteli w pokoju służbowym.

Może tej nocy będzie trzymał Lię w objęciach. Będą się kochali.

- Ty też wyglądasz na zmęczonego, Ky.

Policjant uśmiechnął się.

- Może dzisiaj trochę się prześpię. Wczoraj w nocy miałem telefon od kogoś, kto widział Louisa Dasona. Rozesłałem wici, że go poszukuję. Zebraliśmy grupę ludzi i polowaliśmy na niego kilka godzin. - Wzruszył ramionami, kręcąc głową.

- Bez powodzenia?

- Właśnie. Ukrywa się gdzieś, przez kilka następnych dni łatwo się będzie ukryć. Jest mnóstwo opuszczonych domów, do których właściciele nie wrócą, zanim ich nie wyremontują. Tam musimy skierować najwięcej sił. Nie możemy tracić czasu na poszukiwanie kogoś, kto nie chce zostać znaleziony. Zebrałem wszystkich, którzy mają pojęcie o budownictwie i hydraulice, podzieliłem ich na zespoły i spisaliśmy listę rzeczy do zrobienia. Kilka rodzin zostanie w szkole parę dni dłużej. - Podniósł wzrok na Sama. - Jak tam Sefina?

- Operacja się udała. Zatrzymamy ją jeszcze. Wzrosła jej temperatura.

- Mówiła coś o mężu?

- Nie zmienia swojej wersji, w każdym razie oficjalnie. Myślę, że mogła coś zdradzić Hettie. Nie sądzę, żeby zdawała sobie sprawę, jakie to oczywiste, że jej obrażenia nie są skutkiem upadku.

- Znajdziemy go - obiecał Ky. - I wyślemy na ląd. Mam nadzieję, że zamkną go i wyrzucą klucz.

- Bez zeznań Sefiny do tego nie dojdzie. Spytaam, czy Hettie może ją przekonać.

- A jak malec?

- Sam zobacz.

Dwie kobiety właśnie wchodziły do pokoju służbowego. Hettie z Jonim na rękę, a za nią Lia, tuląc owinięte niemowlę.

- To miejsce zamieniło się w żłobek - stwierdził Sam, choć widok dzieci go ucieszył, zważywszy na to, kto z nimi przyszedł. Spotkał się wzrokiem z Lią.

Nieważne, że są w pracy - nie potrafił po prostu spojrzeć na nią i się odwrócić.

Mógłby przez resztę życia patrzeć w te jej oczy. Czuć tę więź, która sięgała duszy. Cieszyć się świadomością, że w tej więzi znajdzie nieograniczoną siłę. Najwyższą pociechę. I pożądanie, jakiego istnienia nawet nie podejrzewał.

Całe szczęście, że nikt tego nie zauważył.

- Potrzebujecie pomocy? - Ky wstał i zmierzwił loki Joniego. Połaskotał chłopca, a ten się zaśmiał. - Mamy mnóstwo dzieciaków w szkole. Jedno więcej nie robi różnicy.

- Nie. - Hettie wyglądała na przestraszoną. - Radzimy sobie. Sefina chce go codziennie widzieć. - Odsunęła się od Ky'a i usiadła w fotelu. - I kochamy Joniego, prawda? - spytała malca, który w odpowiedzi objął ją z szyję. Pocałowała go w czubek głowy i powtórzyła śpiewnie, co dorośli często robią automatycznie, zwracając

się do dzieci: - Tak, kochamy.

Lia z uśmiechem usiadła w drugim fotelu z niemowlęciem w ramionach.

- Jack czeka na pasie startowym, żeby pana zawieźć na Atangi.

- Chyba skończyliśmy. Jesteś zadowolony, Sam?

Sam wciąż patrzył na Lię, która nadal się uśmiechała. Kiedy spotkała się z nim wzrokiem, on też się uśmiechnął. Czy to się zmieni, gdy wymienią już miliony spojrzeń? Nie sądził, by to kiedykolwiek uległo zmianie.

- Tak... Jestem bardzo zadowolony.

Ky przeniósł spojrzenie z Sama na Lię i z powrotem. Odchrząknął, jakby zobaczył coś, co nie było jego sprawą.

- Chcecie, żebym przysłał tu ludzi do pomocy?

- Nie trzeba. Część okien zabiliśmy deskami, główny problem to zniszczenia spowodowane przez wodę. Najpierw to wszystko musi wyschnąć, zanim ocenimy, co wymaga wymiany. Okna mogą poczekać. Są tu ludzie, którymi trzeba się najpierw zająć.

Ky skinął głową. Spojrzał znów na Lię.

- Czyje to maleństwo?

- Hiki i Afiego.

- Aha, jasne. Zrobiliście naprawdę świetną robotę tamtej nocy. Zostanie pani tu legendą, Lia.

- Ja tylko robiłam swoje.

Sam pokręcił głową.

- Nieprawda. - Zwrócił się do Ky'a. - Ona jest nadzwyczajna.

- Och, przestańcie. - Policzki Lii się zaczerwieniły.

- Afi wciąż tu jest? Jego dom jest na pierwszym miejscu mojej listy. Spory zespół ludzi czeka, żeby sprawdzić, co da się tam zrobić.

- Nie, wczoraj zabrał Emę i Ruę. Ktoś wspominał, że przebywa w szkole.

- Znajdę go. Na pewno zechce do nas dołączyć. A jak się czuje Hika?

- Naprawdę nieźle - odparł Sam - chociaż trochę musi tu jeszcze zostać. Zatrzymamy też maleństwo.

- A co z tym gościem z jachtu?

- Z Felixem? - Sam ściągnął brwi. - Prawdopodobnie będzie wymagał specjalistycznej operacji, żeby mieć pewność, że ręka odzyska pełną sprawność, ale na razie nie ma sensu go przewozić. Rozmawiałem z szefem ortopedów z Brisbane. Musimy poczekać, aż opuchlizna się zmniejszy, zanim cokolwiek da się zrobić, a to może potrwać tydzień. Ale jest bezpieczny i czuje się dobrze.

- Macie dość miejsca? Po południu albo jutro będzie samolot z zaopatrzeniem.

- Damy radę. Dzisiaj chyba wypiszemy parę osób, jeśli mają domy, do których mogą wrócić.

- Hettie? - W drzwiach pojawiła się kolejna osoba. - Jesteś potrzebna. Trzeba roznieść leki.

- Okej. Już idę, Matt. - Hettie uściskała Joniego, odwracając się do Lii. - Może z tobą chwilę zostać?

- Jasne. Jak mnie wezwą, zaniosę go do Vailei.

Joni usadowił się zadowolony obok Lii, a jej udało się otoczyć go ramieniem, nie

budząc trzymanego na rękę maleństwa.

- Ja też już pójdę - rzekł Ky i uściśnął dłoń Samowi. - Odezwę się później, żeby sprawdzić, co u was, ale rozumiem, że najgorsze mamy za sobą. Dobra robota.

- Twoja też.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Sam i Lia zostali sami. Ich oczy mówiły wszystko to, co pozostało niewypowiedziane, gdy inni nie pozwalali im cieszyć się nowo odkrytą więzią.

Ale Sam nawet nie próbował powiedzieć tego na głos. Zamiast tego patrzył na Lię i dzieci.

Coś dziwnego działo się w jego głowie, jakby przeniósł się w czasie i widział Lię z zupełnie innymi dziećmi.

Ich dziećmi? Przed tygodniem na taką myśl oblały się zimnym potem. Bo przecież wróciłby do miejsca, do którego przysiągł sobie nie wracać.

Ale tym razem mogło być inaczej,

Zdawało mu się, że nawet uśmiecha się inaczej. Z czułością.

- Pasuje ci to - mruknął.

Lia się uśmiechnęła.

- Kocham dzieci. Im więcej, tym weselej. Najlepsze są liczne rodziny.

W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, zrugowała się w myśli. Zapomniała się, rozkoszując się ciepłym spojrzeniem Sama. Świadomością, że to, co się między nimi wydarzyło na pokładzie uszkodzonego jachtu, wciąż trwa.

Od tamtej pory nie spędzili ani chwili sami, a ona potrzebowała tego potwierdzenia tak bardzo jak kolejnego oddechu.

A jednak nie byli całkiem sami. Ona trzymała w ramionach niemowlę, a obok niej siedział mały chłopiec. I właśnie oznajmiła Samowi, że najlepsze są liczne rodziny.

Słyszała w głowie echo jego słów, gdy mówił o opiece nad cudzym psem. Czy ma pojęcie, jak to jest mieć rodzinę? Czy był jedynakiem? Czy teraz jest samotny?

Miała ochotę przytulić Sama jak tych dwoje dzieci. Trzymać go blisko serca i już nie wypuścić z objęć.

Pragnęła, by został członkiem jej rodziny.

Zresztą w sercu już nim był.

- Hej...

- Hej co? - Sam wciąż się uśmiechał. Tak czule, że nawet sobie nie wyobrażała, jak by wyglądał jego uśmiech, gdyby trzymała jego dziecko.

Nie upewniła się, czy nikt nie wchodzi do pokoju, a jednak odezwała się szeptem:

- Kocham cię.

Krzesło Sama zaskrzypiało. Serce Lii zabiło mocniej, gdy Sam ku niej ruszył, i zatrzymało się na moment, gdy się nad nią pochylił.

Nie musiał powtarzać jej słów, były wypisane na jego twarzy. Czowała je, gdy dotknął jej policzków i gdy przycisnął wargi do jej ust.

A potem i tak to powiedział.

- Ja też cię kocham.

Joni przywołał ich do rzeczywistości. Pociągnął Lię za rękę.

- Chce lody - rzekł, uroczo sepleniąc. - Plose.

- Pójdę poszukać Vailei.

- A ja zrobię obchód. - Teraz Sam uśmiechał się zawadiacko. - Co robisz po pracy?

- Wygląda na to, że mam wolne popołudnie. Chyba że będzie pilne wezwanie. Ale wszędzie jest już dostęp, a o ile nie polecę za daleko, jestem wolna jak ptak. A ty?

- Chyba uda mi się znaleźć wolną chwilę.

Lia wstrzymała oddech, wyobrażając sobie, jak mogliby tę chwilę zagospodarować. We dwoje. W sypialni Sama. Lecz w jego oczach było coś, czego dotąd nie widziała. Jakaś powaga?

- Chciałbym ci coś pokazać.

Instynkt mówił jej, że Sam zaprasza ją do tej części swojego życia, której nie pokazywał zbyt wielu osobom.

Poczuła dławienie w gardle.

- Chętnie to zobaczę - odparła cicho.

- To krótka podróż łódką. Chcesz, żebyśmy spytał Jacka, czy nie ma nic przeciwko temu, żebyś popłynęła?

- Sama to zrobię. Muszę zanieść zapasy do śmigłowca, kiedy znajdę nową opiekunkę dla dzieci.

- Wracaj szybko. - Sam znów ją pocałował.

Wziął Joniego na ręce, by Lia swobodnie się podniosła, a potem uniósł rękę na pożegnanie, kierując się do drzwi. W progu raz jeszcze odwrócił głowę z uśmiechem.

- Będę za tobą tęsknił.

Lia też się uśmiechała, ale kiedy Sam zniknął, jej wargi zadrżały.

Już za nim tęskniła.

- Idziemy na twój jacht? - W porcie na wyspie kołysały się zacumowane łodzie. - To ta, prawda? „Pieśń fali”?

- Tak. - Sam patrzył z powagą. - Zgadza się.

Lia pamiętała słowa Jacka.

- Miłość twojego życia.

- Była.

Powagę w jego oczach zastąpiło coś, co sprawiło, że serce Lii omal nie pękło z radości.

To jakieś szaleństwo. Znają się ledwie tydzień. Dopiero dwa dni temu zdali sobie sprawę, że ich uczucia są wzajemne.

Jedna ze starszych sióstr Lii, Carla, młodo wyszła za mąż, po bardzo krótkiej znajomości z przyszłym mężem. I nadal tworzyli z Dinem szczęśliwą parę, która dorobiła się gromadki dzieci. Ale gdy ogłoszono datę ich zaręczyn i ślubu, w rodzinie Rosellich zapanowało typowe zamieszanie. Lia pamiętała wyraz twarzy Carli, gdy podzieliła się ze wszystkimi informacją, która odebrała im głos.

Kiedy to jest to, po prostu się to wie.

Czy Carla wtedy czuła to, co Lia teraz?

Lia w to wierzyła. Wiedziała, że Sam był jej przeznaczony. Był mężczyzną, z którym mogłaby być - i którego mogłaby kochać - do końca życia.

Okej, może trzeba byłoby ogarnąć kilka logistycznych kwestii, ale na razie nie za-

mierzała zawracać sobie tym głowy. Bo Sam też to wie.

Że to jest prawda.

Potrzebowała chwili, by znów usłyszeć, co mówi Sam.

- ...weźmiemy moją motorówkę. Fale są wciąż dość duże, potrzebny jest silnik większej mocy, żeby przepłynąć przez wyłom w rafie. Taka pogoda utrzyma się jeszcze wiele dni, nie ryzykowalibyśmy wypłynięcia „Pieśnią fali”.

Trzymając ją za rękę, pomógł jej wejść na pokład małej łodzi zacumowanej obok jachtu.

- Będzie trochę bujało, ale już cię poznałem i wiem, że lubisz adrenalinę. Masz, to dla ciebie.

Włożył jej kamizelkę ratunkową przez głowę, po czym przyciągnął ją do siebie. Trzymał ją tak, by zachowała równowagę. Objęła go za szyję, bo uznała to za najbardziej naturalne zachowanie w tym momencie. Uniosła twarz i stanęła na palcach, a potem go pocałowała.

To Sam przerwał pocałunek.

- Nie zaczynaj - ostrzegł - bo nie dotrzemy do celu.

- Dokąd płyniemy?

- Niedaleko. - Uruchomił silnik. - Trzymaj się.

Wszystko, codo tej pory przeżyła na Wildfire, odpowiadało jej nazwie od pierwszego lotu na wyspę do lotów śmigłowcem z Jackiem.

O swojej pracy na wyspie będzie opowiadała do końca swojej zawodowej kariery. O zawalonym domu. O tym, jak ją upuścili na zniszczony jacht i zostawili na ogromnym wzburzonym morzu podczas sztormu.

Najbardziej szalona historia - którą będzie opowiadała wnukom - zakończy się słowami, że w samym środku tej pełnej niebezpieczeństw przygody znalazła miłość swojego życia.

Krótką podróż łodzią nie była już tak groźna, choć może wciąż szalona. Sam świetnie sobie radził i zgodnie z jego słowami nie popłynęli zbyt daleko - z zachodniej strony Wildfire prosto na jedną z maleńkich niezamieszkałych wysepek tego archipelagu.

Wyspa z głęboką szczeliną w linii brzegowej miała niedużą, za to zaskakująco ładną, wysadzaną drzewami plażę. Powierzchnia wody była tam niemal całkiem gładka, dzięki osłonie dwu skrzydeł wyspy.

Po jednej stronie plaży znajdował się pomost. Lia rozejrzała się, gdy dotarła na jego koniec.

Jedynym śladem cyklonu były tam leżące na plaży kokosy i kawałki drewna. To było bezpieczne miejsce, ale czemu Sam ją tu przywiózł?

- Jak się nazywa ta wyspa? Kto tu mieszka?

- Jeszcze nie ma nazwy. I nikt tu nie mieszka. Na razie.

- Ale jest przystań. O... tam jest dom? - Lia osłoniła oczy przed słońcem, które na moment wyjrzało przez gęste chmury. - Widzę coś... tam wyżej, w lesie.

- To dom w budowie - odparł Sam. - Muszę sprawdzić, czy sztorm go nie zniszczył.

Więc ktoś buduje dom na tej maleńkiej wyspie w tropikalnym raju. Lia ruszyła za Samem ścieżką, która wiała się między potężnymi pniami i płataniną winorośli. Stad-

ko przestraszonych papug poderwało się do lotu.

Budowa była dość zaawansowana. Fundamenty były ukończone i stała już konstrukcja ścian.

- Szczęście, że nie ma jeszcze dachu. - Sam powoli obchodził plac budowy. - Wszystko wydaje się solidne jak skała. Później znajdę Pitę i powiem mu, że świetnie się spisał.

- Pitę?

- Mieszka na Atangi. Był brygadzystą zespołu, który budował centrum konferencyjne na Wildfire. Kiedy projekt dobiegł końca, wszystkim trochę brakowało pracy. Pita jest świetnym fachowcem.

- Na jakiś czas będzie tu chyba nawet za dużo pracy dla wszystkich budowlańców.

- To prawda. Powiem mu, że nie musi szybko wracać. - Sam uśmiechnął się do Lii.

- Podoba ci się?

- Dom czy wyspa? Czemu miałyby mi się nie podobać? - Z wysoko położonego miejsca widziała ponad drzewami szczelinę wypy i leżącą na wprost Wildfire. - Spójrz na kształt tej wyspy. Przypomina złożone skrzydła anioła.

- To prawda. - Sam patrzył w dół. - Może ją tak nazwać? Wyspa Anioła.

- Właśnie nadałam imię wyspie? Super. Musisz powiedzieć o tym Picie.

- Z pewnością to zrobię. - Teraz Sam patrzył dalej, za linię brzegową. - Naprzeciw jest Sunset Beach. Wiesz, tam gdzie kręciłaś się jak wiatrak tuż przed uderzeniem cyklonu.

Uśmiechnęła się do niego. Jak mogłaby zapomnieć? Tam pierwszy raz się pocałowali, a ten pocałunek obudził namiętność, która doprowadziła ich do łóżka.

I choć namiętność była wielka, wydawała się słabsza niż głębia uczuć Lii do Sama.

Miłość, która może trwać do końca życia.

- Zachodzące słońce zalewa klif złotopomarańczowym światłem, wygląda wtedy, jakby płonął. Stąd wzięła się nazwa całej wyspy.

- Brzmi wspaniale. Chcę to zobaczyć.

- Stąd najlepiej widać. Ten dom będzie miał ogromny taras, będzie tam można usiąść jak w pierwszym rzędzie w teatrze i oglądać najlepszy spektakl w świecie.

Lia przeniosła wzrok na Sama. Zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze tam będzie, by zobaczyć jeden z zachodów słońca, kiedy chmury odsłonią niebo. Bo za tydzień powinna wracać do domu.

Czeka na nią rodzina, która jej potrzebuje. Jak szybko będzie w stanie wrócić do Sama? I jak często?

W tym momencie nie знаła odpowiedzi. Od chwili, gdy wyznali sobie miłość, pierwszy raz znaleźli się sami. To wszystko było zbyt świeże. Zbyt cenne, by ryzykować i stawiać przeszkody na tej drodze.

I czy nie za wcześnie na martwienie się przyszłością, kiedy wciąż tyle musi się dowiedzieć o mężczyźnie, w którym się zakochała?

- Nie wiem nawet, skąd pochodzisz - powiedziała ni stąd, ni zowąd. - Co cię skłoniło do przyjazdu na tę wyspę i czy zamierzasz pozostać tu na stałe. Kocham cię, ale prawie nic o tobie nie wiem. Czy to nie szalone?

- Zapewne. - Sam wziął ją w ramiona. - Ja też mało o tobie wiem, ale nie czuję, że jest w tym coś... niewłaściwego. Jakbym czekał na ciebie całe życie.

Tym razem się nie pocałowali. Lia wtuliła twarz w jego ramię.

- Nie wiem nawet, czy jesteś samotny - rzekła cicho i uniosła głowę. - Jesteś żonaty?

- Już nie.

- Więc byłeś żonaty? - Miała wrażenie, jakby ktoś wylał jej na głowę kubel zimnej wody.

Sam westchnął.

- Chodźmy, trochę tu wieje. Pokażę ci plażę i powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Gdy szli ścieżką, a potem po białym piasku plaży, Lia zadawała mu pytania. Dowiedziała się, że dorastał na północy Anglii. Uczył się w Birmingham. Ożenił się z pielęgniarką, która pracowała na tym samym oddziale, ponieważ wydawało mu się, że się w niej zakochał.

Wydawało się?

To znaczy, że nie był zakochany?

Bo dopiero teraz zrozumiał, co to naprawdę znaczy?

Dotarli na skraj plaży, zanim Lia usłyszała, czemu Sam porzucił swoje poprzednie życie i karierę.

- Vicky oznajmiła mi, że jest w ciąży. Byłem taki szczęśliwy. Miałem zostać ojcem.

Usiedli na balu drewna wyrzuconym przez morze. Lia trzymała Sama za rękę. Czowała, że usłyszy coś strasznego. Na przykład o strasznym wypadku, w którym zginęła jego żona i nienarodzone dziecko.

- To nie ja byłem ojcem - podjął Sam. - Okazało się, że ojcem dziecka był inny lekarz z oddziału. Mój najlepszy przyjaciel.

- O mój Boże. - Wstrzymała oddech. - Jak mogła ci to zrobić? - Puściła dłoń Sama i dotknęła jego twarzy.

Czy ta Vicky nie wiedziała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie?

Sam musiał dostrzec kompletny brak zrozumienia w oczach Lii. Może też kryjący się za tym powód - że nawet przez myśl by jej nie przeszło, by zrobić coś takiego ukochanemu facetowi.

Nie jestem taka, mówił jej dotyk. Kocham cię, możesz mi zaufać.

Chwycił ją za rękę i przycisnął ją do warg.

- Nie dziwię się, że odszedłeś. Nikt nie mógłby z tym żyć.

- Czułem się jak kompletny głupek - przyznał. - Zdawało się, że wszyscy dokoła wiedzieli, że ona mnie nie kocha. Że zostałem wykorzystany. - Ciężko westchnął. - Wziąłem urlop. Zamierzałem tam wrócić, ale potrzebowałem przerwy. Popłynąłem jachtem. Przypadkiem trafiłem tutaj i okazało się, że potrzebują tu lekarza. Resztę wszyscy znają. To się nie stało w ciągu jednego dnia, ale znalazłem swoje miejsce. Kocham tych ludzi i... moja obecność tu też jest dla nich ważna. Więc to wzajemne.

- Nie czułeś się samotny?

- Chciałem wziąć psa. - Błysk w jego oczach sugerował, że musiał rozluźnić atmosferę. - Ale teraz, kiedy cię znalazłem...

Lia znów wstrzymała oddech.

Wiedziała, co chciał powiedzieć – że kiedy ją znalazł, może już nigdy nie być samotny.

– Twoja kolej – rzekł Sam. – Jesteś mężatką?

– Nie. Zbyt wiele czasu poświęcałam pracy i nigdy nie spotkałam właściwej osoby... – Urwała.

Pauza zdawała się znacząca. Jakby nie wszystko wypowiedziała na głos.

– Poza tym mam ogromną rodzinę – dodała szybko. – Zajmują mi cały wolny czas. Zwłaszcza Angel.

– Angel?

– Moja siostrzenica. Ma sześć lat. Urodziła się jako wcześniak z porażeniem mózgowym. Jej ojciec odszedł, kiedy dowiedział się, że jest niepełnosprawna. Siostra nie dawała sama rady, jakiś czas temu wróciła do domu rodzinnego. Ja też się tam przeprowadziłam, żeby im pomóc. – Uśmiechnęła się. – Jest trudno, ale nie zamieniłabym tego na nic. Angel jest cudownym dzieckiem, bardzo ją Kocham.

– Co pomyśli, kiedy się dowie, że jest wyspa nazwana na jej cześć?

– Myślisz, że Picie spodoba się ta nazwa?

– To bez znaczenia, czy jemu się spodoba. To moja wyspa.

– Co?

Sam wzruszył ramionami.

– Dwa lata temu miejscowe władze potrzebowały pieniędzy i ktoś wpadł na pomysł, żeby sprzedać jedną z wysp. Pieniądze przeznaczyci na budowę świetlicy środowiskowej przy szkole, gdzie mieszkają ludzie, których domy zostały teraz zniszczone. Nie była wcale droga w porównaniu z cenami ziemi w Anglii.

– Naprawdę?

Lia pomyślała o rodzicach i ich zasepionych minach, gdy się głowili, jak spłacać kredyt za dom, kiedy skończą się pieniądze z odprawy ojca. Może powinni pomyśleć o przeprowadzce gdzieś, gdzie ziemia jest tańsza.

Choćby tutaj?

– Nie planowałem wybudować domu – podjął Sam. – To było po prostu miejsce, gdzie mogłem odpocząć i mieć trochę czasu dla siebie. Ale potem skończyła się budowa centrum konferencyjnego i ludzie potrzebowali pracy.

A zatem znalazł im pracę.

Tego dnia poznała Sama bliżej. Wiedziała już, że nie miał rodziny i prawdopodobnie był jedynakiem. Został boleśnie zraniony przez byłą żonę i najlepszego przyjaciela. Był hojny dla ludzi, którzy nie byli mu obojętni.

Teraz to Lii zabrakło słów. Musiała odwrócić wzrok, zanim jej oczy wypełnią się łzami. Spojrzała na plażę. Gdzieś dalej morze wciąż było wzburzone, ale tu tylko drobne fale rozbijały się na brzegu.

Angel kochała wodę. Kochała plażę, lecz w okolicy Brisbane fale były dla niej za wysokie, by próbowała pływać. A gdyby tak mogła przyjechać na wakacje na wyspę i bawić się w tej ciepłej wodzie tak długo, jak zechce?

Ale mieszkać tu na tej wyspie na Pacyfiku z dala od świata? Z dala od rodziny?

Czując dotyk ręki Sama, odwróciła głowę. Dotyk jego warg przypominał jej, jak bardzo prywatna jest ta plaża. Nie wyglądało na to, by pocałunek miał się szybko skończyć.

Chciała, by trwał. Chciała kochać się z Samem na tej plaży, pod palmami, które niczym mur chroniły tę piękną małą wyspę. Wyspę Sama.

Jak mogłaby opuścić rodzinę, żeby tu zamieszkać?

Kiedy uległa namiętności, w jej głowie była tylko jedna myśl. Jak mogłaby tu nie zamieszkać, skoro mieszkanie tutaj oznaczało życie z Samem?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Być może tego ranka słońce tylko chwilami przebijało się przez grube puszyste chmury, jednak nigdy nie świeciło tak jasno. Sam musiał osłonić oczy, gdy wyszedł z domu.

Może słońce i ciepło wydawały się bardziej zaskakujące niż zwykle, ponieważ stanowiły ostry kontrast z ciemną stroną natury, która dominowała w ciągu kilku minionych dni. A może patrzył teraz na świat oczami zakochanego mężczyzny i wszystko, w tym pogoda, było po prostu doskonałe?

Zbyt dobre, żeby było prawdziwe?

Jak wielką różnicę może sprawić jeden dzień! Cóż, dzień i noc, prawdę mówiąc.

Wspaniale było kochać się z Lią na własnej małej wyspie. To było potwierdzenie tego wszystkiego, co widział w jej oczach, kiedy opowiedział jej swą historię. Wydawała się przerażona tym, jak go potraktowała Vicky. Lia nie zrobiłaby tego mężczyźnie, którego kocha.

On był tym mężczyzną.

Żadne z nich nie zwracało uwagi na to, że plaża nie jest może idealnym miejscem na tego rodzaju intymność.

Gdy po powrocie do domu Sama pod prysznicem opłukali się z piasku, zaczęli wszystko od nowa, doceniając wygodę łóżka.

Lia wróciła do swojego pokoju, by się przebrać, więc Sam miał trochę czasu dla siebie na kontemplowanie kontrastów, które sprawiły, że jego życie stało się tak fantastyczne.

Cyklony i słońce.

Samotność i miłość.

Choć nie chciał tego robić, porównywał też Vicky i Lię. To nieuniknione. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nikim o swojej przeszłości, gdyż postanowił do tego nie wracać. Mówienie o tym teraz przywołało masę niechcianych wspomnień.

Gorzkich i bolesnych.

W pracy nigdy dotąd nie czuł z nikim takiej więzi jak z Lią, jakby miał drugą parę rąk, której mógł ufać tak samo jak własnym.

Seks nigdy nie był tak fantastyczny. Nigdy dotąd nie był czymś więcej niż fizyczną przyjemnością.

Vicky nigdy nie patrzyła na niego tak jak Lia. Jakby w jej oczach skumulowała się miłość całego świata.

Spędził z Vicky wiele miesięcy, nim zdecydował, że chce ją poślubić i spędzić z nią resztę życia.

Czy kompletnie zwariował, myśląc tak samo o Lii po kilku dniach znajomości?

Nie, on był tego pewien.

Idąc przez ogród do wejścia do szpitala, czuł, że ma na twarzy głupi uśmiech.

Życie jest dobre. I będzie jeszcze lepsze, bo samolot z lądu ma im przywieźć za-

opatrzenie, na które czekali od chwili, gdy cyklon zaburzył ich normalne życie.

Może, kiedy sytuacja na wyspie się uspokoi, weźmie krótki urlop, usiądzie z Lią w ogrodzie i będzie cieszyć się tym, co widział w jej oczach.

Nie był jeszcze w stanie przewidzieć, ile to potrwa, ale w końcu każdemu wolno marzyć, prawda?

Od drzwi szpitala dzieliło go kilka kroków, więc mógł sobie pozwolić jeszcze na chwilę marzeń.

Niestety przerwał mu dźwięk telefonu.

- Witaj, Pita, miałem dzisiaj do ciebie dzwonić. Byłem wczoraj na wyspie. Dom wygląda świetnie. Cyklon go nie uszkodził.

Przez kilka chwil Sam słuchał swojego rozmówcy.

- Oczywiście... rozumiem - odparł. - Masz teraz mnóstwo na głowie. Nie ma pośpiechu. Ja... Co?

Zakończywszy rozmowę, szybkim krokiem zmierzał do pokoju służbowego. Jack siedział przy radiu i notował coś w dzienniku pokładowym.

- Cześć, Sam. Piękny dzień, co? Jeszcze trochę i będzie po chmurach. Możemy lecieć gdzie tylko trzeba.

- Tak. Będzie gorąco. - Sam przesunął książki i gazety na biurku. - Nie widziałeś tu białej koperty? Pita przyszedł po nią wczoraj, ale mówi, że jej nie było.

- Nie. - Jack zerknął na zegarek. - Lepiej już pójdę. Obiecałem Lii, że zawiozę ją wózkiem golfowym na lotnisko, żeby odebrać zaopatrzenie. Muszę zrobić przegląd śmigłowca. - Zerknął znów na Sama, który wciąż przesunął sterty papierów i teczek, które zawsze zbierały się na biurku obok radia. - Dawno ją tu zostawiłeś?

- Co najmniej tydzień temu. To było... - Sam zmarszczył czoło. Pamiętał, jak wkładał pieniądze do koperty, a potem schował kopertę do kieszeni.

Dużej kieszeni. Miał na sobie biały fartuch.

- To było pierwszego dnia pracy Lii.

Bo wtedy włożył ten głupi fartuch, żeby zrobić na niej wrażenie. Choć po komentarzu, jaki wygłosiła na temat pieniędzy, które zarobi na wyspie, spisał ją na straty.

Pamiętał telefon od Pity. Powiedział mu wtedy, gdzie zostawi kopertę, ale nie przypomniał sobie, żeby ją później tam położyć. Bo był rozkojarzony? Miał pacjenta z zawałem. Pracując z Lią, zaczął rewidować swą wcześniejszą opinię na jej temat. Zdjął fartuch, który krępował mu ruchy. Zwinął go i rzucił...

Na dolną półkę wózka ze sprzętem do reanimacji.

- Nieważne - powiedział do Jacka. - Chyba wiem, gdzie jest.

Od tamtej pory nie korzystano z wózka. Powinien stać w magazynie obok bloku operacyjnego.

Tak też było. A między pudełkami ochronnych rękawiczek i workami z solą fizjologiczną leżał pognieciony biały fartuch.

Sam sięgnął po niego i zajrzał do kieszeni. Więc tu trafił jego kalendarz. Szukał go wczoraj, bo chciał sprawdzić, kiedy ma dyżury w przychodni na Atangi i innych wyspach. To były ważne dyżury, gdyż zamierzali podać nową szczepionkę przeciw zapaleniu mózgu, przeznaczoną specjalnie dla tych wysp.

Potrząsnął głową. Najpierw cyklon, potem Lia. Czyżby zapomniał, co jest najważniejsze? Nie praca, którą tak kochał, ale te wyspy i ci ludzie. Jego dom.

Co mu przypomniało o domu, który budował. O tym, że musi zapłacić Picie.

Sprawdził pozostałe kieszenie. Przeszukał cały wózek, zajrzał pod półki w magazynie, ale nigdzie nie znalazł śladu koperty. Kto przywiózł tu wózek?

Anahera? Poszedł jej poszukać.

- Sam, właśnie miałam do ciebie dzwonić. Możesz spojrzeć na Felixa? Ręka bardziej go boli, myślę, że nawrót kapilarny w palcach jest zbyt wolny.

- Jasne. Zaraz tam pójde. Pamiętasz ten dzień, kiedy Keoni miał zawał?

- Oczywiście.

- A pamiętasz, kto odstawiał do magazynu wózek reanimacyjny?

Anahera ściągnęła brwi.

- Jakiś czas stał w kącie w sali, kiedy podłączaliśmy pacjenta do urządzeń monitorujących przy łóżku. Nie wiem, kto go zaprowadził do magazynu.

Lia stała wtedy w kącie sali. Czytała i wysyłała esemesy, które tak go zirytowały. Może ona coś pamięta.

Młoda pielęgniarka wsadziła głowę przez drzwi.

- Widzieliście Sefinę?

- Nie, czemu pytasz?

- Powiedziała mi, że dziś rano wychodzi ze szpitala. Mówiłam, że musi poczekać na lekarza, ale potem byłam zajęta innymi pacjentami. A teraz nie mogę jej znaleźć.

- Może jest z Jonim. Sprawdź w kuchni. - Anahera spotkała się wzrokiem z Samem. - Możesz teraz zajrzeć do Felixa?

- Oczywiście. - Sam odłożył na później sprawę zaginionej koperty. Widocznie gdzieś się zapodziała w chaosie kryzysowej sytuacji. Na pewno się znajdzie.

Gdyby nie otaczające ją dowody niedawnego cyklonu jak pozbawione kwiatów krzewy, niesprzątnięte z drogi kokosy, Lia z trudem by uwierzyła, że to naprawdę się wydarzyło.

Pod czystym błękitnym niebem i słońcem, które z każdą minutą grzało mocniej, jechała wózkiem golfowym wyładowanym zapasami dla szpitala, świadoma, że wszyscy, którzy widzą jej szeroki uśmiech, myślą pewnie, że zwariowała.

A ona jechała tam, gdzie był Sam.

To, jak bardzo zmieniło się jej życie, było jeszcze bardziej niesamowite niż siła niedawnego cyklonu.

Tak właśnie czuje się człowiek, który jest zakochany.

Nic dziwnego, że Carla stwierdziła, że to się po prostu wie. To prawda.

Może powinna przestać dokuczać młodszej siostrze Elenie, która miała dużo starszego chłopaka. Może Elena jest naprawdę zakochana. Wyobrażała sobie reakcję rodziny, gdy wróci do domu i oznajmi, że poznała mężczyznę, którego zamierza poślubić.

Matka zrobi znak krzyża albo uderzy pokrywką o garnek, albo mruknie coś w rodzaju „*Mamma mia, Lia, a ja uważałam cię za najrozsądniejszą z tej rodziny*”.

Tęskniła za domem, za gromadą ludzi przy stole i wspaniałą kuchnią matki. Za uściskami Angel. Nawet za niekończącymi się swarami i docinkami. Ostatecznie zawsze dochodzili do porozumienia, ponieważ jedyną rzeczą, której w rodzinie Roselich nigdy nie brakowało, była miłość.

Jak czuje się Nico, który zaczął chemioterapię?

A Angel? Była umówiona na wizytę u ortopedy w Brisbane, gdyż rozważano operację więzadeł, co miało jej pomóc w poruszaniu się przy pomocy specjalnego sprzętu.

Uśmiechnęła się. Dzięki pracy na wyspie będzie w stanie zapłacić za sprzęt dla Angel.

Potem jej uśmiech zgasł.

Z jednej strony tęskniła za rodziną.

Z drugiej pragnęła być z Samem.

I te cudowne wyspy! Jego prywatna wyspa. Chyba każdy uznałby to za spełnienie marzeń. Nie brakowałoby jej tu przyjaciół. Wszyscy ci ludzie, których spotkała do tej pory – Anahera, Hettie, Caroline i Jack – mogą zostać wyjątkowymi ludźmi w jej życiu.

W ciągu tego tygodnia przeżyła więcej i miała więcej możliwości wykorzystania swoich zawodowych umiejętności niż podczas miesiąca pracy w domu. Ile budynków zostaje zniszczonych przez cyklon w okolicy Brisbane? A nawet jeśli coś takiego się dzieje, wysoko wykwalifikowane służby ratunkowe i medyczne ustawiają się w kolejce, by przed nią dotrzeć na miejsce.

Czy na wyspie chcieliby mieć na stałe ratownika? Mogłoby to ich mniej kosztować niż sprowadzanie tymczasowego personelu, zwłaszcza w porze cyklonów.

Zresztą mogliby to nadal robić. Potrzebowałyby czasu, kiedy na świat przyjdą dzieci...

O rety. Przypadkiem się nie zagalopowała?

Gdy zaparkowała przed szpitalem, uśmiech powrócił na jej twarz. Zaczęła wnosić kartony. Pudełka z zestawami do kroplówek do magazynu obok oddziału intensywnej terapii. Nową bieliznę pościelową do innego magazynu. Nie miała klucza do szafki z lekarstwami, więc zaniosiła pudło do pokoju służbowego, by znaleźć kogoś, kto taki klucz ma.

Hettie miała akurat wolne, ale na pewno ma go Anahera albo Caroline. Albo...

Sam siedział przy biurku z otwartą teczką.

– Cześć.

Gdy podniósł wzrok, zauważyła zmarszczki wokół jego oczu, które zapowiadały uśmiech, spojrzenie, które złagodniało na jej widok. Oczy miał szaroniebieskie z ciemniejszą obwódką w kolorze włosów.

Kochała te oczy. Kochała te miękko opadające włosy. Kochała sposób, w jaki na nią patrzył, jakby słońce znów wyszło po silnej burzy. A nawet po cyklonie.

– Cześć. – Wstał, porzucając swoje zajęcie i podszedł do niej. – Pozwól. – Wziął od niej pudełko. – Dobrze, że leki przyleciały. – Pochylił się, by pocałować ją w usta. – Powinien z tobą pojechać ktoś z ochrony.

– Trenowałam kung-fu. – Lia się uśmiechnęła.

Sam odpowiedział uśmiechem.

– Wcale mnie to nie dziwi. Aha, nie masz przypadkiem w tej swojej nadzwyczajnej głowie książki telefonicznej personelu Brisbane Hospital? Próbuję znaleźć numer gościa, z którym rozmawialiśmy na temat Felixa. Nie podoba mi się, że Felix tak cierpi. Graham jakiś tam, nazwisko wyleciało mi z głowy. Keanu z nim rozmawiał,

a nie chcę mu przeszkadzać w wolny dzień.

- Graham Appleby. Profesor Appleby.

Sam pokręcił głową,

- Naprawdę jesteś nadzwyczajna. Skąd ty to wiesz?

Lia się zaśmiała.

- To raczej przypadek niż cud. Zbieg okoliczności. Mówiłam ci o mojej siostrzenicy z porażeniem mózgowym. Profesor Appleby jest jednym z członków zespołu, który się nią zajmuje. Jest najlepszy.

Sam wyjął z kieszeni pióro i napisał nazwisko na ręce.

- Zaraz do niego zadzwonię. - Podniósł wzrok i unióśł brwi. - A skoro już mowa o twoim doskonałym umyśle, pamiętasz swój pierwszy dzień pracy u nas? Pacjenta z zawałem?

- Mówisz o tym dniu, kiedy po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć, jaki jesteś świetny? Kiedy próbowałeś zrobić na mnie wrażenie białym wykrochmalonym fartuchem? - Uśmiech Lii płynął prosto z serca.

- Zgadza się. Pamiętasz, że rzuciłem fartuch na dolną półkę wózka reanimacyjnego?

- Nie. Ale pamiętam, jak pomyślałam, że bez fartucha wyglądasz o niebo lepiej. Mogę nawet powiedzieć: seksownie.

Sam wciąż marszczył czoło.

- Stałaś obok wózka na oddziale, kiedy stabilizowaliśmy Keanu. Nie widziałas czasem, żeby spadła z niego jakaś koperta?

Lia potrząsnęła głową.

- Jaka?

- Mała, płaska. Płacę Picie gotówką, żeby mógł łatwiej zapłacić swoim kolegom budowlańcom i dostawcom. W kopercie było dziesięć tysięcy dolarów, ale zniknęła.

Lia szeroko otworzyła usta.

- Dziesięć tysięcy? Wiedziałam, że jesteś bogaty, ale... To głupie, Sam. Jak mogłeś ją tu zostawić? Każdy mógł ją wziąć.

Powiedziała to tak zwyczajnie.

„Wiedziałam, że jesteś bogaty”.

Tego ranka porównywał Lię z Vicki. Bolesne wspomnienia znów wypłynęły na powierzchnię. Bez zaproszenia. Na przykład przyprawiająca o mdłości ostatnia rozmowa z żoną. Jego ciężarną żoną, która nosiła dziecko innego mężczyzny.

„Mówiłaś, że mnie kochasz”.

„Mężczyzn tak łatwo oszukać”.

„Czemu za mnie wyszłaś?”

„A jak sądzisz, Sam?” Jej śmiech był okrutny. „Wszyscy wiedzą, jaki jesteś bogaty”.

Starął się teraz mówić spokojnie i obojętnie.

- Co masz na myśli, mówiąc, że jestem bogaty?

Lia patrzyła czujnie i nieufnie. Może jego głos wcale nie brzmiał tak obojętnie, jak mu się zdawało?

- Jesteś właścicielem wyspy, na Boga. Masz jacht.

Powiedział jej, że ziemia była tam stosunkowo tania. Wielu ludzi posiada jachty. Ile Lia naprawdę wie?

Jego spojrzenie najwyraźniej wprawiało ją w zakłopotanie. Odwróciła wzrok, skuliła i rozprostowała palce.

- Ludzie mówią różne rzeczy. O tym, że... kupiłeś sprzęt dla szpitala, kiedy był potrzebny. Że jesteś... hojny. - Posłała mu krótki uśmiech. - To jedna z rzeczy, które w tobie kocham.

Jedna z rzeczy? W tyle jego głowy odezwał się ostrzegawczy głos.

Prawdopodobnie jedyna istotna rzecz.

- Pieniądze są dla ciebie ważne, prawda?

- Co to ma znaczyć?

Dobry Boże... powiedział to głośno? Lia wyglądała na zdezorientowaną. I zranioną. Jakby ją spoliczkował.

Poznałeś prawdę, szepnął paskudny cichy głos.

Słyszał echo słów Lii.

Kto by pomyślał, że płacą więcej za przyjazd tu w porze cyklonów? Podróże zawsze były dla mnie za drogie. Dlatego podróż tu jest tak ekscytująca.

Już za pierwszym razem, gdy to usłyszał, poczuł niepokój. Prawdę mówiąc, zastanawiał się, czy chodzi o to, że Wildfire jest egzotyczną wyspą, czy Lia była podekscytowana większymi zarobkami?

Mogłaby się pozbyć wszelkich trosk, wychodząc za kogoś, kto odziedziczył niezłą fortunę, prawda?

Nawet połowa z tego, co mu zostało, urządziłaby ją do końca życia. Tak jak Vicky i ojca jej dziecka.

Zdawało się, że słowa same płyną z jego ust.

- Nie ukrywałaś powodu, dla którego tu przyjechałaś, prawda? Dla pieniędzy?

- Sugerujesz, że wzięłam pieniądze? Te w kopercie?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Nie to miał na myśli. Zapomniał o przeklętej kopercie, kiedy znów napłynęły wspomnienia. Nigdy by nie sugerował, że Lia jest złodziejką, to nie do pomyslenia.

Jak może to naprawić?

- Wybacz. Mam za dużo na głowie i nigdy nie chciałem, żeby ktoś wiedział, że jestem bogaty. - Potarł czoło. - Mówiłem ci o Vicky. Poślubiła mnie dla pieniędzy. To był jedyny powód.

O rety... to nie pora, by opowiadać Lii smętną historię swojego koszmarne małżeństwa. Jeszcze pogorszył sprawę. Omal nie wyznał, że tego ranka myślał o byłej żonie. Tymczasem Lia zbladła i sprawiała wrażenie, jakby miała się rozpaść na kawałki. Kruchość była ostatnim słowem, jakie przyszłoby mu do głowy, gdyby chciał opisać Lię, ale teraz tak właśnie wyglądała.

- Nie ufasz mi.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Nieprawda. Ufam ci. Ja... - Chciał powiedzieć: Kocham cię, ale słowa uwięzły mu w gardle. Jak można coś takiego powiedzieć do kogoś, kto na ciebie patrzy, jakby ci właśnie wyrosła druga głowa?

Na dodatek do pokoju właśnie weszła Ana.

- Zwiększona dawka morfiny nie pomogła Felixowi. Chcesz mu zdjąć gips, Sam, i zobaczyć, co się dzieje?

- Tak. Ale najpierw zadzwonię do Brisbane. - Do specjalisty, którego nazwisko znał dzięki Lii.

Odwrócił się do niej, kiedy Anahera oddaliła się tak szybko, jak się pojawiła. Otworzył usta, by powiedzieć, że porozmawiają później. Że o nic jej nie oskarża.

Jednak nie dała mu szansy.

- To nigdy nie było prawdziwe, co, Sam? - Jej głos brzmiał dziwnie głucho, jakby to duch mówił, a nie kobieta stojąca naprzeciwko niego. - To... - wykonała gest - cokolwiek to było. Nic z tego nie było prawdą.

Wyszła z pokoju tak szybko jak Anahera. Jakby od tego zależało czyjeś życie. Jej?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Łzy przesłaniały jej widok do tego stopnia, że wyspy były teraz zaledwie zielonymi smugami na niebieskim tle.

Tydzień temu z przekonaniem oznajmiłaby, że nigdy nie płacze. Że radzi sobie ze wszystkim, co ją w życiu spotyka i jeśli chodzi o łzy, to raczej ociera cudze. Była najsilniejszą osobą w rodzinie. To na jej wiedzy medycznej wszyscy polegali w razie kłopotów ze zdrowiem. To ona dodawała otuchy wszystkim, którzy tego potrzebowali. Ona porzuciła swoje życie i wróciła do domu rodzinnego, by pomóc w opiece nad niepełnosprawnym dzieckiem wymagającym ogromnej ilości czasu, wysiłku i energii.

A ile razy płakała w minionym tygodniu, na Boga?

Na plaży, kiedy musiała powiedzieć Samowi, czemu zachowywała się nieprofesjonalnie i cały dzień czytała i wysyłała esemesy dręczona poczuciem winy, że nie była obecna podczas operacji Nica.

I kiedy uratowała Hikę z zawalonego domu i poczuła tęsknotę za swoim domem.

Dzień wcześniej też omal się nie rozpląkała, gdy Sam opowiadał jej swoją historię, a ona zdała sobie sprawę, jak bardzo samotne było jego dzieciństwo i jak zdruzgotany był zdradą kobiety, którą poślubił. Słuchała tego z bólem serca.

A teraz znów płakała. Z radości, że wraca do rodziny?

Czy były to łzy złości, bo uciekła od czegoś, z czym powinna była sobie poradzić?

Ale to wszystko działo się tak szybko.

Jack był dla niej miły, kiedy wróciła na pas startowy wózkiem golfowym, uciekając od oskarżeń Sama, że jak jego była żona jest zainteresowana wyłącznie pieniędzmi. Że wzięła kopertę z idiotycznie dużą sumą.

Jack tylko raz na nią spojrział i wiedział, że coś się stało. Mówiła mu o Nicu, więc uznał, że kontaktowała się z rodziną i jest im potrzebna, a Lia nie wyprowadzała go z błędu. Bo to była pilna osobista potrzeba.

Samolot, który przywiózł im zaopatrzenie, właśnie miał startować, silniki już pracowały. Jack dał sygnał pilotowi i wepchnął Lię na pokład.

- Przyjechałam tu do pracy. Potrzebna ci załoga.

- W razie wezwania wezmę Anaherę. Zawsze tak robimy, jak nie ma ratownika. Damy sobie radę. Leć, rodzina cię potrzebuje. Powinnaś tam teraz być.

- Ale... - zaprotestowała słabo.

Chciała uciec od przykrej świadomości, że to, co połączyło ją z Samem, było tylko iluzją.

Myśleniem życzeniowym.

Sądził, że się w nim zakochała, gdyż był bogaty? Nie, było jeszcze gorzej. Uważał, że udawała zakochaną. Tak jak Vicky? Że miała obsesję na punkcie pieniędzy, a może nawet mu je ukradła.

- Przyślę ci twoje rzeczy następnym samolotem - oznajmił Jack. - A może wrócisz

za dzień czy dwa.

Wrócić? Mało prawdopodobne.

Zamruwała, powstrzymując łzy, a kiedy samolot ruszył, widziała już wyraźnie. Wraca do domu.

Do rodziny. Tam, gdzie jej miejsce.

Jak w ogóle mogła pomyśleć, że byłaby w stanie wyprowadzić się z rodzinnego miasta i zamieszkać na oddalonej od świata wyspie na Pacyfiku?

To by się nigdy nie udało.

Sam jest z natury samotnikiem. A ona nie przetrwałaby bez miłości rodziny. Teraz potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek. Oczywiście nie przyzna się do swojej głupoty, do tego, że uznała, że znalazła mężczyznę swojego życia. Na samą myśl, jak bardzo była tego pewna, wzdrygnęła się.

To się po prostu wie. Głośno prychnęła. Prędko nie ulegnie temu przekonaniu.

To nie powinno się było zdarzyć, ale przynajmniej się skończyło. Znow zamruwała i zaczęła się przysłuchiwać rozmowie prowadzonej przez pilota przez radio. Mężczyzna zauważył jej spojrzenie i uniósł brwi.

Lia skinęła głową.

- Brzmi to świetnie.

W samolotach, którymi mogła polecieć z Cairns do Brisbane, nie było wolnych miejsc. Zapowiadało się, że będzie zmuszona czekać kilka godzin, ale pilot właśnie rozmawiał z kimś, kto znalazł dla niej miejsce.

Kiedy w końcu wyląduje w Brisbane, do domu będzie miała niespełna godzinę drogi samochodem.

Czekały ją jeszcze dwie godziny lotu do Cairns. Dużo czasu na wymyślenie wiarygodnego powodu przyjazdu do domu bez bagażu. Na przykład że to była okazja. Nie muszą wiedzieć, że cyklon się skończył i znow jest więcej lotów. Miała okazję skorzystać z wolnego miejsca, a jej rzeczy zostaną przysłane później, inaczej musiałaby czekać jeszcze tydzień na powrót do domu.

A ona nie chciała czekać. To było bliskie prawdy.

Zdjęcie gipsu wymagało wyjątkowej ostrożności, zważywszy na rodzaj złamania, ale należało to zrobić, ponieważ ból sugerował, że rozwinął się zespół ciasnoty i jeśli pilnie się tym nie zajmą, Felix może mieć niesprawną rękę, a nawet ją stracić.

Potem znow musieli skontaktować się z profesorem Appleby z Brisbane i omówić z nim sytuację.

W końcu Sam zadzwonił do Jacka.

- Czy samolot, który przywiózł zaopatrzenie, jest tu jeszcze?

- Już dawno poleciał, niestety.

- Możemy go zawrócić? Mam pacjenta, który wymaga pilnego przewiezienia do Brisbane.

- To niemożliwe. Nie starczy im paliwa. Chcesz, żebym sprowadził samolot ratunkowy z Cairns?

- Tak. Powiedz im, że potrzebujemy tylko pilota. Chcę lecieć z pacjentem, żeby mieć na niego oko.

- Nie ma sprawy. Zaraz to zrobię.

- Dziękuję.

- Aha, Sam. Skoro już cię mam przy telefonie, daj znać Anaherze, że będę jej potrzebował, gdyby było jakieś wezwanie dla śmigłowca.

- Co? A gdzie Lia?

- Już dawno poleciała.

- Słucham? - Na pewno się przesłyszała. - Co ty gadasz?

- Wysłałem ją samolotem zaopatrzeniowym. Powiedziała, że ma pilną rodzinną sprawę.

Sam osłupiał, zamilkł. Tego się nie spodziewał. To niewiarygodne. I całkowicie nieprofesjonalne. Zdenerwowała się czymś, co powiedział, i uciekła? Skłamała, żeby mieć wymówkę?

Czy naprawdę ma pilną rodzinną sprawę? Kiedy ostatnio uznał, że jest nieprofesjonalna, gdy nie odrywała się od telefonu, okazało się, że chodziło o chorego brata. Nico właśnie zaczął chemioterapię. Czyżby stało się coś złego?

Dokładnie w tym momencie, kiedy nieumyślnie obwiniał ją o kradzież jego pieniędzy? To trochę naciągane.

Kończąc rozmowę z Jackiem, Sam zaczął krążyć po pokoju. Nie, przesadne było myślenie, że kobieta jego życia może się magicznie objawić w postaci ratowniczkii. Nie było w tym nic prawdziwego. W każdym razie dla Lii. Sama to powiedziała, z nim uciekła.

Jak mógł być taki głupi?

Złamał zasadę i zasłużył na wynikające z tego konsekwencje, ale nie zamierzał tracić więcej czasu na myślenie o tym teraz.

Wymaszerował z pokoju w poszukiwaniu Anahery. Znalazł ją w ogrodzie gawędzącą z Manu, portierem, który grabił śmieci pozostawione przez cyklon.

- Trzeba założyć Felixowi nowy gips. Z Cairns przyleci samolot, chcę, żeby Felix był gotowy do transportu.

- Zaraz się tym zajmę.

- Poproś Caroline o pomoc. Jack chce, żebyś z nim poleciała w razie wezwania.

- Co? - Anahera szeroko otworzyła oczy. - A co z Lią? Jest chora?

- Nie, wyjechała. Możesz znaleźć kogoś, kto spakuje jej rzeczy i zawiezie torbę na lotnisko? Podrzucimy ją do Brisbane Hospital, żeby sobie odebrała, kiedy zechce.

- Nie rozumiem. Co się stało?

- Jakaś pilna rodzinna sprawa. - Sam się odwrócił. Musiał obejść Manu, który zbierał liście, by je wrzucić na taczkę.

- Co to jest? - Anahera minęła Sama i włożyła rękę w stertę wilgotnych liści. - Patrz... to nie ta koperta, której szukałeś?

To była ta koperta, mokra, ale nienaruszona. Sam wziął ją od Anahery. Atrament się rozmazał, jakby ktoś trzymał ją i płakał. Sam miał przed oczami twarz Lii, kiedy powiedział tę straszną rzecz.

Nie ukrywałaś, że przyjechałaś tu przede wszystkim dla pieniędzy, prawda? Wszystko zepsuł. Skrzywdził Lię. Poczł się chory.

Nieważne, że doświadczenia przeszłości zaprogramowały go tak, że stał się podejrzliwy. Lia w niczym nie przypominała Vicky, ale jego umysł jakoś to zignorował

i pozwolił mu pleść bzdury. Konsekwencje osaczyły go niczym drapieżne zwierzęta, potrzebował czegoś, za czym mógłby się przed nimi schować.

Miał coś takiego.

Pacjenta, który wymagał dobrej opieki, bo inaczej jakość jego życia ulegnie znacznemu pogorszeniu.

Dopiero kiedy samolot wystartował z Wildfire, Sam uświadomił sobie, że w podróży tylko kilka razy będzie mógł zmierzyć pacjentowi ciśnienie i sprawdzić stan ręki. Będzie za to miał dużo czasu na to, by jego myśli wędrowały ku nieuchronnemu celowi. Ku Lii.

Tak niedawno odbyła tę samą podróż. O czym myślała, gdy samolot oderwał się od ziemi? Czy wypatrzyła jego wyspę? Naprawdę wyglądała jak anioł ze złożonymi skrzydłami. Nazwa Angel pasowałaby idealnie, ale czy byłby w stanie jej używać, czy może zawsze przypominałaby mu, że zepsuł najlepszą rzecz, jaka mu się w życiu przytrafiła?

Czy Lia widziała z góry jego zacumowany jacht? Czy pomyślała o tym, co za sobą zostawia?

Czy myślała o nim?

Nie mogła przestać myśleć o Samie.

Och, przez chwilę wydawało się to proste, w typowym chaosie rodziny Rosellich po niespodziewanym przybyciu Lii. Adriana zalała się łzami, oczywiście, i wciąż przerywała rozmowy, by wziąć Lię w objęcia i szczyptać ją w policzki. Angel nie pozwoliła jej się oddalić ani na chwilę. Nico czuł się świetnie, ale czekał na zapewnienia Lii, że efekty uboczne chemioterapii warto przetrwać. Na dodatek od wieków nie widziała tak szczęśliwego ojca. Adriana już szykowała rodzinne święto, wydzwaniała do dzieci, które nie mieszkały w rodzinnym domu.

Nazajutrz Carla, Dino i trójka ich dzieci mieli przyjść na obiad. Lia poczuła ukłucie zazdrości. Carla wiedziała, że znalazła „tego jedyne”. Dino też nie miał wątpliwości. W małżeństwie znaleźli prawdziwe szczęście.

Tylko jak często w życiu zdarza się taka bajka? Czy Lia naprawdę uwierzyła, że ją to spotkało?

Z biegiem czasu opowiadanie o swoich przygodach stawało się dla niej coraz trudniejsze.

- Byłaś w ruinach domu zburzonego przez cyklon? Całkiem sama? *Mamma mia...*

- Nie byłam sama. Pracowałam z jednym z lekarzy ze szpitala. Samem.

- Ładne imię. - Szturchnięcie Fiony było znaczące. - Przystojny?

- Chyba tak. - Lia zablokowała intymne szczegóły, które wypełniły jej wspomnienia, gdy pomyślała o Samie.

Rozjaśnione słońcem włosy. Piękne oczy. Dotyk lekkiego zarostu, a potem gładkiej skóry jego policzka. Kształt jego warg, kiedy się uśmiechał albo chciał ją pocałować.

- Żonaty?

- Tak. - Cóż, nie skłamała, prawda? Był żonaty.

I został skrzywdzony. Ona nigdy by go nie skrzywdziła.

Kochała go o wiele bardziej, niżby chciała. Musiała zamknąć oczy i siłą woli odsu-

nać te myśli.

- Jesteś zmęczona - stwierdziła Adriana. - Nic dziwnego, tyle tam przeżyłaś. Idź do łóżka, *cara*.

- Jutro chyba nie pójdziesz do pracy? - spytała Fiona.

- Raczej nie. Jeszcze się mnie nie spodziewają. Rano zadzwonię do Bruce'a i...

I będzie musiała wymyślić lepsze wyjaśnienie wcześniejszego powrotu niż to, które z radością zaakceptowała rodzina.

- Więc możesz ze mną pojechać?

Lia otworzyła oczy i ujrzała uśmiechniętą Fionę. Na jej kolanach siedziała Angel.

- Cieszysz się? Ciocia Lia z nami pojedzie?

- Dokąd?

- Angel ma wizytę w szpitalu. Ktoś musi ze mną jechać i pomóc mi z samochodem, wózkiem i tak dalej. Tata musi tu zostać na wypadek, gdyby dostał telefon z zaproszeniem na kolejną rozmowę kwalifikacyjną. Nico chciał jechać, ale nie czuje się dość dobrze, a wiesz, jaki jest stosunek mamy do szpitali. Guy prowadzi jak ostatni...

Lia uniosła rękę, by zapobiec kłótni.

- Jasne, że pojedę, z przyjemnością.

Im więcej będzie miała zajęć, tym lepiej. Noce będą najgorsze, bo nic nie odwróci jej myśli krążących wokół jednego tematu. Wokół Sama.

To nie było prawdziwe, przypomniała sobie. Więc czemu tak boli?

Najpierw zauważył małą dziewczynkę na wózku inwalidzkim. Akurat. Jakby kształtne pośladki w obcisłych dżinsach nie przyciągnęły wzroku każdego mężczyzny, kiedy kobieta obok wózka przykucnęła, by podnieść upuszczoną przez dziecko zabawkę.

Kiedy się wyprostowała, uniósł wzrok, tym razem zatrzymując go na ciemnych włosach, które sięgały paska spodni. Poczul ucisk w piersi.

Włosy tej kobiety wyglądały jak włosy Lii, kiedy je rozpuściła. Kobieta była też wzrostu Lii. A jej figura była równie zachwycająca. Kiedy wreszcie pojął, kogo widzi, omal się nie potknął.

- Lia?

Odwróciła się tak gwałtownie, że jej włosy się zakołysały. Przez sekundę przysięgłby, że się rozpromieniła, ale zaraz potem jej twarz przesłonił cień.

- Sam? Co tu robisz?

- Przywiozłem Felixa. Miał uszkodzony nerw, było coraz gorzej, a na Wildfire nic nie mogliśmy zrobić. Zadzwoniłem do Grahama Appleby, który kazał go tu przywieźć. Kiedy Felix został zbadany, było już za późno, żebym wracał. Graham zaprosił mnie, żebym został i obejrzał dziś operację. Ja... - Mówił za szybko, zaczynało to wyglądać, jakby się tłumaczył z obecności w tej części świata, która należała do Lii.

Jakby nie mógł tam przylecieć sam z siebie.

Żeby ją zobaczyć.

Lia nie wydawała się szczególnie zainteresowana. Odezwała się jednak uprzejmym tonem:

- Jak się ma Felix?

- Ręka powinna być w pełni sprawna. Operacja była nadzwyczaj ciekawa. Chyba miałaś rację, mówiąc, że profesor Appleby jest tu najlepszy.

- Hm. - Spuściła wzrok. - Czy to mój plecak?

- O... tak. Jack prosił, żebym go zabrał, uznał, że łatwiej ci będzie odebrać go stąd niż z innego miejsca. Chciałem go zostawić w recepcji, ale skoro jesteś...

- Tak, przyjechałam z siostrą na terapię zajęciową Angel. - Wyciągnęła rękę po plecak. - Dzięki.

Podniosła wzrok. Wiedziała, że myślał o tamtych chwilach na plaży, kiedy postanowił nazwać wyspę imieniem jej siostrzenicy. Zaraz potem uprawiali seks tak szalony, że nie zwracali uwagi na to, że leżą na szorstkim piasku i kawałkach drewna.

Cierpiała. On to czuł, a zabolalo go to tak mocno, jakby mu ktoś przejechał ostrzem po skórze. To on ją zranił. Powinien ją przeprosić, lecz zatłoczona recepcja dużego szpitala nie jest do tego najwłaściwszym miejscem.

Lia wyglądała, jakby zamiast obok niego wolala znaleźć się tysiące kilometrów dalej, gdy inna wysoka ciemnowłosa kobieta podeszła do nich zdenerwowana.

- O Boże, Lia. Nie uwierzysz. Nie mogę uruchomić samochodu. Musiałam nie wyłączyć świateł i akumulator padł.

- Zadzwonimy do taty. Przyjedzie i nam pomoże.

- To długo potrwa, a Angel jest zmęczona.

- Mogę was podwieźć do domu - zaoferował Sam. - Mam wypożyczony samochód, i tak spóźniłem się na jedyny samolot, którym mogłem wracać do domu, bo operacja trwała dłużej, niż przewidywano. Musiałem przebukować bilet na jutro.

Kobieta patrzyła na niego. Potem przeniosła wzrok na Lię. Lia westchnęła.

- To jest Sam Taylor, jeden z lekarzy z Wildfire. Sam, to moja siostra Fiona, mama Angel.

Sam uściśnął dłoń Fiony. Potem obszedł wózek inwalidzki, by spojrzeć w twarz dziewczynce.

- Cześć, kochanie, ty pewnie jesteś Angel.

Dziewczynka upuściła zabawkę, więc Sam pochylił się i ją podniósł. Kątem oka widział, że siostry wymieniły spojrzenia. Najwyraźniej zrobił wrażenie na Fionie, ale Lia nadal nie wyglądała na zainteresowaną. A nawet gorzej. Wyglądała na złą.

Zabawka Angel to była duża pluszowa ryba, więc Sam, podając ją dziewczynce, udał, że ryba do niej płynie.

Angel uśmiechnęła się tak szeroko, jak uśmiechała się Lia, i zaśmiała się głośno.

- Jeszcze raz. - Mówiła z trudem. - Chcę jeszcze raz.

Tym razem ryba „dopłynęła” do Angel dość blisko, by dziewczynka mogła ją chwycić. Sam się wyprostował i spojrzał na Lię.

- Pozwól, że zawiozę was do domu. Proszę.

Krótko patrzyła mu w oczy, po czym odwróciła wzrok. Czy dostrzegła, jakie to dla niego ważne? Że ma szansę ją przeprosić? Spróbować wszystko wyprostować?

- Byłoby cudownie - odparła Fiona. - Tata może tu później przyjechać z jednym z chłopców. Nawet jutro. - Szturchnęła siostrę łokciem. - Zgódź się, Lia. Nie chcę tu utknąć na wiele godzin. Wiesz, jaka marudna robi się Angel, kiedy się nudzi. Musisz się zgodzić.

- Nie zmieścimy wózka w wynajętym samochodzie.

- To suv - odrzekł Sam. - Nie ma problemu.

Znów spojrzała mu w oczy. Angel podniosła wzrok na dorosłych, a potem rzuciła zabawkę wysoko.

- Jeszcze - domagała się.

Ale tym razem to Lia podniosła pluszaka. Twarz miała równie poważną jak głos, gdy znów się odezwała:

- Dobrze. Możesz nas zawieźć do domu. Pod warunkiem, że to na pewno nie kłopot. - Zaczęła się odwracać. - Pójdę po fotelik Angel.

Słyszając ton siostry, Fiona szeroko otworzyła oczy. Potem przeniosła wzrok na Sama i ściągnęła brwi. Zrozumiała, że między nimi jest jakieś napięcie. Najwyraźniej Lia nie zdradziła rodzinie prawdziwego powodu szybszego powrotu z wyspy, ale przecież to i tak wyszłoby na jaw. Zwłaszcza kobiety potrafią wyczuć takie sprawy.

Sam odchrząknął. Czy zamierza wpaść z deszczu pod rynnę? A gdyby prawda wyszła na jaw i musiałby się skonfrontować z oburzeniem całej rodziny Rosellich?

- Żaden problem - rzekł. - Podjadę do wejścia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

To najlepsze, co mogło się zdarzyć. Znow znalazła się blisko Sama. To najgorsze, co mogło się zdarzyć.

Serce Lii i jej rozum toczyły zażarty spór.

Jak mogłaś się na to zgodzić? – krzyczał jakiś głos w jej głowie. Siedzisz z nim w samochodzie, musisz słuchać jego głosu, patrzeć na jego ręce na kierownicy. A ilekroć na nie spojrzysz, myślisz o dotyku. Na Boga, czujesz jego zapach. Cudowny, i to wcale nie żadnej wody po goleniu, tylko zapach mężczyzny, w którym jesteś głupio zakochana.

Jak mogłabyś się na to nie zgodzić?

To właściwie nie był głos jej serca. Bardziej wszechobejmujące uczucie, które trudno ubrać w słowa.

Widziałaś wyraz jego oczu. On wie, że cię zranił. Chce to naprawić.

Angel dzięki Bogu zdecydowała, by Lia siedziała z nią na tylnym siedzeniu. Fiona z radością zajęła miejsce z przodu, kiedy pomogła Samowi zapakować wózek, potem dawała mu wskazówki, jak ma jechać. Na chwilę Lia trochę się uspokoiła. To nie potrwa długo, mówił rozum. Sam wysadzi je przed domem, pożegnają się i tyle. Pewnie przeprosi i może sobie powiedzą, że pozostaną w kontakcie. Pozostaną przyjaciółmi.

Ale potem Angel zasnęła, a korki się zmniejszyły, więc Fiona zainteresowała się innymi kwestiami.

– Jak się mieszka na tropikalnej wyspie, to człowiek pewnie ma wrażenie, że jest na niekończących się wakacjach.

– Niezupełnie – odparł Sam. – Po jakimś czasie krajobraz i klimat powszednieją. Pracuję tak samo, jak pracowałbym w innym miejscu. Mamy duży rejon. Na wielu wyspach są gabinety i przychodnie, szpital prawie na okrągło jest pełen. Czasami mamy zbyt wiele zajęć.

Tak jak w czasie cyklonu i tuż po nim, pomyślała Lia. Sam krążył wtedy w tłumie ludzi, którzy potrzebowali pomocy, a czasami tylko pociechy. Wiedziała, że był nieodłączną częścią tego miejsca. To na koniec tamtego wyczerpującego dnia stwierdziła, że się w nim zakochuje. A właściwie, że już się zakochała i nic tego nie zmieni.

– Często brakuje nam personelu – ciągnął. – Mamy mnóstwo dodatkowej pracy, na przykład sami wykonujemy badania laboratoryjne. Poza tym w tej chwili prowadzimy kliniczne testy nowej szczepionki przeciw zapaleniu mózgu. To wspaniałe...

Mówił o swojej pracy ze szczerą pasją.

Ale jej uczucia się zmieniły, przypomniała sobie. Przeżyła szok, słysząc jego oskarżenie, że jest zainteresowana wyłącznie pieniędzmi. Omal jej nie obwinił o kradzież. Nie oskarżył cię o kradzież, szepnęło jej serce. Nic dziwnego, że po swoim koszmarnym małżeństwie był podejrzliwy wobec kobiety, która nie kryła, że

pieniądze są dla niej ważne.

- Macie w szpitalu fizjoterapeutę? - spytała zaciekawiona Fiona.

- Tylko wizytującego. Wielu z naszych specjalistów pojawia się mniej więcej co dwa tygodnie, przyjmują wtedy w przychodni. - Sam zerknął na Fionę. - Czemu pani pyta?

- Prawie skończyłam szkolenie. Niedługo będę dyplomowaną fizjoterapeutką. Dzięki Lii.

- Akurat. - Lia odezwała się po raz pierwszy, odkąd ruszyli. Musiała odchrząknąć, bo gardło miała ściśnięte. - Sama ciężko na to pracowałam.

- Nawet nie pomyślałabym o powrocie do szkoły, gdybyś nie sprowadziła się do domu, żeby mi pomóc z Angel. Właściwie zrezygnowałam ze swojego życia.

Dźwięk, jaki wydobył się z gardła Lii, zapewne miał być śmiechem.

- Nie mam życia poza pracą. Kocham ją.

- Ja też - przyznała Fiona. - Czy nie byłoby wspaniale pracować w tropikalnym raj? Może mogłabym zostać wizytującą fizjoterapeutką na Wildfire?

- Niewykluczone - odparł ostrożnie Sam.

- Bardzo bym chciała mieszkać na wyspie. Czy pana żonie się tam podoba?

- Słucham?

- Lia mówiła, że jest pan żonaty.

Lia skrzywiła się. Wstrzymała oddech na długą chwilę ciszy, która zapadła po tych słowach. Patrzyła na Angel, modląc się w duchu, by się obudziła i odwróciła uwagę wszystkich od tej rozmowy, ale dziewczynka spała.

- Byłem żonaty - odrzekł w końcu Sam. - Dawno temu. Nie wyszło.

- Aha. - To był znaczący dźwięk, na domiar złego Fiona odwróciła się i zmierzyła Lię wzrokiem.

Lia z kolei spojrzała przez okno. Kiedy minęło dość czasu, znów się odwróciła i spotkała się wzrokiem z Samem w tylnym lusterku.

Naprawdę na to zasłużyłem? Żeby mi przypominać najgorsze chwile mojego życia? - pytał niemo.

Tak. Zdrada wciąż rodziła w nim gniew. Może nie obwiniał Lii o kradzież, ale tak to zabrzmiało, jakby ją porównywał do byłej żony. Jakby to było możliwe.

Nie. Podzielił się z nią bardzo osobistą sprawą, a ona tego nie uszanowała. Tak, chroniła siebie. Sprawa była zbyt świeża, by mogła opowiedzieć bliskim, co zdarzyło się między nią i Samem.

W samochodzie panowała krępująca cisza. Fiona wyczuła, że coś przed nią ukrywają. Coś istotnego. Trzeba jej przyznać, że próbowała zmienić temat.

- To wspaniale, że do taty oddzwonili, prosząc go na kolejną rozmowę. To dobry znak, mam nadzieję, że dostanie tę pracę.

- Pani ojciec jest bezrobotny? - spytał Sam.

- Od miesięcy.

- Musi mu być ciężko.

- Ma pan rację - przyznała Fiona. - Gdyby nie Lia, nasza sytuacja finansowa byłaby bardzo kiepska.

Lia znów się wzdrygnęła. Będą teraz rozmawiali o pieniądzach? Czy może być gorzej? Wciąż miała w uszach głos Sama. Pieniądze są dla ciebie bardzo ważne, praw-

da? Nie kryłaś, że przyjechałaś tu dla pieniędzy?

To jej wina w takim samym stopniu jak Sama. Zasłużyła na brak zaufania, a potem uciekła, nie próbując się wytłumaczyć.

Czy jest możliwe, że Sam był tak samo zraniony jak ona? Ale przecież nie do niej przyjechał. Przyleciał z pacjentem. Chciał zostawić jej plecak w recepcji.

Głos Fiony płynął do niej jakby z oddali.

- Pomoc rządu do tego się ogranicza, zwłaszcza jak ma pan niepełnosprawne dziecko.

- Wyobrażam sobie.

- Dlatego Lia wzięła tę pracę na wyspie. Mama omal nie dostała zawału, kiedy się o tym dowiedziała, ale Lia naprawdę potrzebowała pieniędzy. A wie pan dlaczego?

- Nie - odparł cicho. - Nie wiem.

- Cóż, są takie aparaty ortopedyczne nowej generacji, których kosztu rząd nie pokrywa, bo kosztują fortunę, ale Angel będzie ich chyba potrzebowała, żeby nauczyć się chodzić. Och, proszę skręcić w lewo. Już prawie jesteśmy.

Powinien był wiedzieć. Okej, więc pieniądze są dla Lii ważne, ale nie z żadnych egoistycznych powodów.

Ta wspaniała, niewiarygodnie mądra, zaskakująco dzielna i namiętna kobieta poświęciła swoje życie - i pewnie sporą część zarobków - ludziom, których kocha. Swojej rodzinie. A cóż to za rodzina!

Gdy tylko zaparkowali przed dużym starym domem z szeroką werandą i otwartymi drzwiami, Sam został obstąpiony. Zdawało się, że niezliczona liczba osób pomaga wynieść z samochodu Angel i jej wózek. Dziękowali Samowi za rozwiązanie problemu transportowego. Prawdę mówiąc, panował potworny rozgardiasz, Sam nie był w stanie zapamiętać imion tych ludzi, w tym biegających wokół dzieci.

- Ja wezmę wózek.

- Daj spokój, Nico, jesteś chory, zapomniałeś?

- Och, niech Guy to zrobi. Pora, żeby się do czegoś przydał.

- Fiona, słyszałem. Nie mów tak o swoim bracie.

- Ryba. Ryba... - Angel obudziła się i patrzyła na wszystkich z promiennym uśmiechem.

- Obiad gotowy. Co się tak grzebiecie? - Wycierając ręce w fartuch, matka tej licznej rodziny w końcu przepchnęła się na przód grupy. - Kim pan jest?

- Sam Taylor, pani Roselli.

- Jest lekarzem, Mamma. - Fiona wyjęła z tyłu samochodu plecak Lii. - Pracował z Lią na wyspie.

- To co tu robisz?

- Jest przyjacielem Lii, Mamma. Był tak miły, że podwiózł nas do domu.

- To był przypadek - wtrącił Sam. - Akurat byłem w szpitalu, bo przyleciałem tu z pacjentem. To tylko... szczęście.

Odwrócił się do Lii, która sadzała Angel na wózku. Ona pewnie nie uważa tego za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ale teraz była otoczona rodziną, chroniona. Szansa na rozmowę z nią się oddaliła.

- Lepiej już pojedę - rzekł Sam.

- Co? Bzdura. Zostaje pan na obiedzie. Chodźmy. - Matka Lii chwyciła go za rękę. - Robi się chłodno, ruszajcie się. W końcu świętujemy czy nie?

Lia gwałtownie się wyprostowała.

- Świętujemy? Tata dostał pracę?

- Jutro zaczynam.

- Och. - Lia rzuciła się w objęcia ojca. - Tak się cieszę.

Cała rodzina ruszyła naprzód, porywając z sobą Sama.

Szli zarośniętą ścieżką wzdłuż bocznej ściany domu. Skręcili za róg na podwórze, pod pergolę obrosniętą winoroślą z wplecionymi w nią lampkami choinkowymi. Na środku podwórza stał duży drewniany stół, a na nim pełno półmisek z jedzeniem, butelek wina, bochenków chleba. Co najmniej dziesięć świec rzucało ciepły blask na scenerię, która pachniała tak dobrze, jak wyglądała.

- Niech pan siada - rzekł ojciec Lii. - Tutaj, u szczytu stołu. Jest pan gościem. Lia, chodź tu i usiądź obok swojego przyjaciela.

Sam wciąż nie mógł zapamiętać imion gospodarzy.

Fiona usiadła na końcu jednej z długich ławek, przysunęła do siebie wózek z Angel. Małe dzieci wcisnęły się obok rodziców, Carli i... Dina? Nica łatwo było zapamiętać, bo był spokojniejszy niż reszta i trochę blade, ale Sam zapomniał, kim był młody mężczyzna ze słuchawkami wiszącymi na szyi.

Była też inna dziewczyna z takimi samymi ciemnymi włosami i oczami, jak włosy i oczy Lii i Fiony. Pisała esemesa, a Sam się uśmiechnął, przypominając sobie, jak Lia robiła to samo. Źle ją wtedy ocenił. Ale przeprosił za to później tego samego dnia, i oto do czego ich to doprowadziło. Niewiele myśląc, odwrócił się do Lii, która siedziała w milczeniu.

- Przepraszam - rzekł półgłosem.

- Za co? - Przy stole panował hałas, wszyscy nakładali sobie jedzenie i upominali dzieci, więc nikt nie słyszał ich słów. Spojrzenie Lii wciąż pełne było urazy. - Za to, że mnie spotkałeś czy że zgubiłeś pieniądze?

- Nie zgubiłem. Koperta znalazła się pod liśćmi, tam, gdzie reanimowaliśmy Keanu pierwszego dnia twojej pracy.

Lia wyciągnęła rękę po talerz, który podał jej brat.

- Musisz tego spróbować - powiedziała głośno. - Lasagne Mammy są najlepsze na świecie. - Nałożyła porcję na jego talerz. - Oczywiście, że pamiętam - dodała niepokojąco chłodnym tonem. - Cieszę się, że się znalazła.

Sam wziął z miski trochę sałaty.

- Nigdy nie mógłbym żałować, że cię spotkałem. - Podsunął Lii miskę z sałatą. Koniuszki ich palców się zetknęły. - Przepraszam, że powiedziałem coś tak głupiego, że pozwoliłem, żebyś uwierzyła w coś, co nie jest prawdą.

Szeroko otworzyła oczy.

- Co nie jest prawdą?

Czy ktoś zauważył, co się dzieje na tym końcu stołu? Poziom hałasu podpowiadał, że nie.

- Że to, co przeżyliśmy, było nieprawdziwe - rzekł cicho. - Dla mnie to było prawdziwe. Wciąż jest.

To było prawdziwe. W oczach Sama Lia widziała miłość. Czuła tę miłość. Jej wielką moc.

Miała ochotę zarzucić ręce na szyję Sama. Wybaczyć mu i zapomnieć te koszmarne chwile, które przeżyła po wyjściu ze szpitala na Wildfire. Zacząć od nowa, teraz, gdy lepiej się rozumieli i mogli jeszcze się do siebie zbliżyć, budując przyszłość na trwałym fundamencie. Bez tajemnic.

Ale to wymaga absolutnej szczerości. I zaufania.

- Miałaś rację - powiedziała niemal szeptem. - Pieniądze są dla mnie ważne.

Żadne z nich nie zabrało się do jedzenia. Sam wciąż patrzył w oczy Lii, kącik jego warg unosił się lekko.

- Bo ich potrzebujesz dla rodziny. Świetnie to rozumiem. Wiem, że jesteś wielką szczęściarą.

- Jedzcie - padło z ust Adriany Roselli, która sięgnęła po koszyk z chlebem. - Coś wam nie smakuje?

- Wszystko jest pyszne, Mamma. - Lia nabrała lasagne na widelec. - Wiesz, że najbardziej to lubię.

- Ja też - dodał Sam. - Od teraz...

Uśmiechnął się i wszyscy się zaśmiali. Zaraz potem zarzucili Sama pytaniami.

- Jak to się stało, że to Lia znalazła się pod zniszczonym budynkiem? - spytał Guy. - To nie było niebezpieczne?

- Nie chciałem, żeby tam wchodziła - odparł Sam. - To było niebezpieczne. Ale ona była mniejsza i mogła się precyzyjnie przeczisnąć przez szparę, i nie pozwoliła się zatrzymać.

- To nasza Lia. - Nico pokiwał głową.

- Sam wszedł tak daleko, jak mógł - wtrąciła Lia. - Musieliśmy wydostać niemowlę, Sam wsadził je sobie pod ubranie, żeby było bezpieczne.

Na to wspomnienie resztki złości wyparowały.

Kochała tego człowieka. Całym sercem i duszą.

Straciła apetyt. Zamiast tego siedziała i obserwowała swoich bliskich w rozmowie z Samem. Zrobił na nich wrażenie. Czy są gotowi przyjąć go jako kogoś więcej niż gościa?

Wiem, że jesteś wielką szczęściarą...

W jego głosie słyszała tęsknotę. Myślami cofnęła się do chwili, gdy siedziała z dzieckiem Hiki i synkiem Sefiny, gdy poczuła jego samotność i miała chęć przytulić go jak dziecko i nie wypuścić z ramion. Gdy zrozumiała, że Sam już jest częścią jej rodziny.

Na drugim końcu stołu Angel zasnęła na wózku.

- Położę ją do łóżka - rzekł ojciec Lii.

Trochę to trwało, nim odpiął szelki, które przytrzymały Angel w wózku. Lia wyczuła, że Sam miał ochotę wstać i wziąć ją na ręce.

- Poradzą sobie - powiedziała cicho.

- Chciałbym pomóc.

- Ale to nie jest konieczne. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

- Jest coś, co mógłbym zrobić. - Sam wziął Lię za rękę. - Pozwól, że kupię jej ten aparat ortopedyczny, który pomoże jej chodzić.

Lia zeszywniała.

- Nie potrzebujemy twoich pieniędzy, Sam. - Zabrała rękę i wstała.

Czyżby wrócili do punktu wyjścia?

Sam także się podniósł. I wtedy wszyscy zamarli. Pewnie pierwszy raz w historii cała rodzina Rosellich milczała, wlepiając wzrok w Sama i Lię, którzy patrzyli sobie w oczy.

- Nasza rodzina sama się zajmuje swoimi sprawami - rzekła Lia. - Nie potrzebujemy jałmużny.

- Wiem. Ale... jestem częścią rodziny, Lia. Wiesz.

- *Mamma mia...* - Szept był dość głośny, by wszyscy go słyszeli. - Co się tu dzieje?

Sam odwrócił się twarzą do zebranych. Ojciec Lii stał obok jej matki z Angel na rękę. Obok nich stała Fiona, która odezwała się stłumionym głosem.

- Wiedziałam. Lia, masz nam coś do wyjaśnienia.

- Nie. - Sam odchrząknął. - To ja muszę coś wyjaśnić. Panie Roselli, nie znam waszej córki zbyt długo, ale wiele się o niej dowiedziałem. Wiem, że tak bardzo kocha rodzinę, że zrobiłaby dla was wszystko. Wiem, że jest najodważniejszą i najbardziej inteligentną osobą, jaką spotkałem, i co najważniejsze, wiem - spojrzał na Lię - że ją kocham. I że zawsze będę ją kochał. Chcę ją poślubić, jeśli będę miał dość szczęścia, i ona tego zechce.

Lia zatonąła w jego oczach. Bała się, że lada moment jej radość tryśnie łzami. Matka już płakała.

- Ja też cię kocham, Sam. Już jesteś częścią mojej rodziny. Nie wyobrażam sobie bez ciebie życia.

- Ekstra - orzekł Guy. - Możemy pojechać i zobaczyć ten zniszczony dom? I kopalnię, gdzie był wybuch?

- Zamknij się, Guy - syknął ktoś.

- Wiedziałam - powtórzyła Fiona. - Tak się cieszę, Lia. Już pora...

Angel obudziła się w ramionach dziadka.

- Ryba... - poprosiła, patrząc na Sama.

- Nie. - Adriana wycierała łzy rogiem fartucha. - Nie, nie, nie... To za wcześnie. Za szybko.

Carla i Dino uśmiechali się.

- Kiedy myśmy to ostatnio słyszeli? - spytała Carla.

Lia ujęła dłoń Sama i odwróciła się do rodziny. Drżącymi wargami uśmiechnęła się do Carli.

- Słyszeliśmy to już i wszyscy wiecie, że to może być prawdą. Tym razem to też jest prawdą.

- Co? - zapytał Sam.

Lia na niego popatrzyła. Puściła jego rękę i objęła go za szyję. Stała na palcach i pocałowała go.

- To się po prostu wie - rzekła cicho.

- Aha, tak. To jest prawda. Ja wiem...

- Ja też.

Potem już nic nie byli w stanie powiedzieć, bo pocałunek zabrał ich tam, gdzie byli sami. Słyszeli radosne głosy bliskich, którzy witali nowego członka rodziny.

To była miłość.
Prawdziwa, taka, która może trwać wiecznie.

Tytuł oryginału: The Fling That Changed Everything
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2016
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębowska

© 2016 by Alison Roberts
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Medical są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-2928-9

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Strona redakcyjna